



# Kenyon Nate "Diablo III. Zakon" - fragment

*Fahrenheit Crew*

Kenyon Nate "Diablo III. Zakon"

Na podstawie gry wyprodukowanej przez Blizzard Entertainment

Tłumaczył Mateusz Repeczko

Fabryka Słów, Lublin 2012

Prolog. Wspomnienia

## Tristram, 1213

Chłopiec wcisnął ręce w kieszenie wełnianej tuniki, jakby chciał je ogrzać, mimo że siedział na tyle blisko ognia, by ciepło zabarwiło różem jego policzki. Ramiona miał wąskie, twarz pociągłą i naznaczoną zmęczeniem nietypowym dla jedenastolatka, wydawał się przez to starszy. W przerzuconej przez ramię torbie z jeleniej skóry tkwiła wciśnięta w kieszeń opaska księga. Wyrostek garbił się pod jej ciężarem, skórę poznały mu czerwone ślady. Chłopak o to nie dbał. Ani też o to, co inni mają do powiedzenia na jego temat. Z natury był samotnikiem zaszywającym się w domu nad starymi księgami. I nie czuł potrzeby, by to zmieniać.

Blask płomieni tańczył na twarzach pozostałych dzieci, które usiadły wokół ogniska. Na zarumienionych buziach malował się zachwyt i uniesienie, niemalże ekstaza, jakby to nie bajarka opowiadała im historie,

lecz sama archanioł Auriel, która zstąpiła na ziemię.

Nie. Chłopiec zniesmaczony nieznacznie potrząsnął głową. Może kilka lat temu pokusiłby się o takie porównanie, ale teraz już nie. Bajarką, która z taką pewnością siebie snuła opowieść, była po prostu jego matka. Zwykła śmiertelniczka. I mimo swego pochodzenia wiedzą bynajmniej nie przerastała innych śmiertelników. A nawet gdyby archanioły istniały naprawdę, to na pewno nie marnowałyby czasu na wycieczki do takiej zabitej dechami dziury jak ta wioska.

Kłoda pękła, syjąc snopami iskier. Kilkoro dzieci aż podskoczyło. Dym kłębił się wokół ich głów, wypełniał nozdrza kwaśnym, gorzkim zapachem, który maskował smród niosący się z podwórka. Matka trzymała młodych słuchaczy w napięciu. Jak zawsze. Starsi mogli sobie przewracać oczami, gdy przechodziła, karczmarz i strażnicy mogli za jej plecami szeptać o szaleństwie, ale dzieci zawsze przychodziły słuchać. I wierzyły. Póki nie dorosną, pomyślał Deckard Cain. Póki nie zaczną dostrzegać prawdy.

- Ostatni z Najwyższych Złych i najmłodszy z braci, Diablo, Władca Grozy, był najsilniejszy ze

wszystkich i najtrudniej było go powstrzymać. Mówiono, że ktokolwiek nań spojrzeł, z przerażenia pogrążył się w otchłani szaleństwa. Ale horadrimowie ani na chwilę nie zaprzestali pogoni. Kiedy Tal Rasha został pogrzebany wraz z Władcą Zniszczenia pod piaskami Aranoch, Jered Cain powiodł pozostałych magów przez Khanduras i walczył ze sługami Diabła na każdym kroku.

Aderes powiodła wzrokiem po zaróżowionych twarzyczkach, zaglądając w oczy każdemu z dzieci. Gdy jej spojrzenie padło na Deckarda, chłopak udał, że wypatruje czegoś poza kręgiem światła. Głos jego matki zadrżał lekko. Może po prostu nabierała tchu...

- Horadrimowie dzięki potężnej magii dziesiątkowali armię demonów. Ale Diabło wezwał kolejne tysiące sługusów wprost z dna Piekieł. Jered zdecydował, że pora położyć temu kres. Wszak archanioł Tyrael powołał horadrimów w jednym tylko celu: by powstrzymać Najwyższe Zło i wygnać Władców Piekieł z naszego świata. Jered nie zamierzał pozwolić, by bractwo zawiodło.

Aderes Cain miała woskowo bladą skórę, twarz okoloną kruczoczarnymi lokami i puste spojrzenie przeklętej. Deckard setki razy słyszał już tę opowieść, za każdym razem obszerniejszą i bardziej imponującą. Znał wszystkie zwroty akcji, wszystkie części fabuły. Teraz Aderes zaskoczy dzieci - ujawni, że bohaterscy magowie stanęli do bitwy tutaj, na tych właśnie ziemiach. Powie, że piasek pod ich stopami spłynął ongiś czarną krwią demonów. Jej głos nabierze mocy, gdy opíše, jak to Jered i pozostali horadrimowie stawili czoła fali potwornych istot, by wreszcie uwięzić Diabła w Czarnym Kamieniu Dusz i pogrzebać głęboko pod ziemią, gdzie spoczywa po dziś dzień.

Kiedyś ta legenda przejmowała Deckarda dreszczem, ale wyrósł już z tego, przestał być dzieckiem, zaczął wstydić się matki i jej rosnącego szaleństwa. Zresztą teraz miał ważniejsze sprawy na głowie i nie mógł już znieść opowieści. Kiedy więc matka odwróciła się do pozostałych, umknął w chłodną ciemność nocy.

+

Szedł boso po śliskiej trawie, owinąwszy ciasno tuniką drobne ramiona. Z dala od ogniska powietrze było znacznie chłodniejsze i z każdym oddechem Deckarda unosił się obłoczek pary, niby niezemska istota powołana do życia z ludzkiego tchnienia. Niedaleko w stodole ktoś zaklął, zakrzyczała szlachtowana owca i powietrze wypełnił słodko-kwaśny zapach krwi. Mgła tuliła się do pni drzew na skraju lasu, a chłód muskał

kark Deckarda niczym palce ducha. Chłopiec zadrżał i skręcił w stronę domu, odległego zaledwie o jakieś

pięćdziesiąt kroków.

Wnętrze oświetlały dwie lampy, ale Deckard wolał pozostać w ciemności. Bezszelestnie przemknął do swojego pokoju. Drogę znał przecież na pamięć. W domu też było zimniej, niż się spodziewał.

Jego palce przebiegły po grzbiecie księgi, którą miał w torbie, pieszczotliwie, delikatnie. Ale jeszcze po nią nie sięgnął. Delektował się chwilą jak pijak smakiem wina, gdy podniesie już do ust długo wyczekiwany kielich. Księga zawierała historię Zachodnich Marchii i synów Rakkisa, był to tekst ze wszech miar naukowy, nie

taki, jakie lubiła czytywać matka: o szlachetnych bohaterach, niewyobrażalnych światach Niebios i

Piekieł

oraz tamtejszych mieszkańcach, którzy zawsze czaili się gdzieś na granicy wzroku. Bajki.

Chciał choć trochę pobyc sam. Ale chwilę później drzwi otworzyły się ponownie i usłyszał, jak matka zrzuca ciężkie drewniaki. Zaraz pewnie rozpali ogień, zagotuje wody na herbatę, a potem z robótką albo książką zasiądzie na bujanym fotelu i zacznie pomrukiwać pod nosem. Mylił się. Przyszła prosto do jego pokoju, ledwie zdążył ukryć książkę pod łóżkiem.

- Deckardzie? - Uniosła wyżej lampę, spoglądając na niego spod przymrużonych powiek. - Odszedłeś, zanim skończyłam.

W miękkim żółtym świetle jej włosy sprawiały wrażenie nieokiełznanej burzy czarnych loków opadających na ramiona. Zaczyna siwieć, pomyślał Deckard, na prawej skroni pojawiły się pierwsze białe nitki. Nie zauważył tego wcześniej.

- Już wiele razy słyszałem tę historię. Byłem zmęczony i chciałem odpocząć.

- To nie jest jakaś tam historia, Deckardzie. Krew Jereda płynie w twoich żyłach, jesteś... jesteś ostatnim z dumnego rodu bohaterów.

- Horadrimem.

- Właśnie. Potomkiem wielkich magów, których zadaniem jest bronić Sanktuarium przed demonami nawiedzającymi ten świat. Przecież wiesz.

Cain wzruszył ramionami. Nie lubił patrzeć matce prosto w oczy, nigdy nie był pewien, co tam zobaczy. Przez chwilę siedział w milczeniu.

- Dlaczego nie pozwoliłaś mi przyjąć nazwiska ojca? - zapytał nagle.

Sam nie wiedział, dlaczego to powiedział. Ojciec zmarł kilka tygodni wcześniej. Całe życie przepracował w sklepie garbarza. Zaczął od zamiatania podłóg, by potem zostać czeladnikiem, a ostatnie dwa lata zarządzał już całym sklepem. Rzadko miał coś do powiedzenia, jeszcze rzadziej okazywał uczucia. Deckard nie był do niego zbyt podobny... A może był?

Matka postawiła lampę na stoliku przy łóżku i usiadła obok syna. Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego ramienia,

a on się odsunął, odrobinę zaledwie, na tyle jednak, by cofnęła dłoń jak oparzona.

- Jesteś zły i cierpisz - westchnęła. - Rozumiem. Ale to nie przywróci go do życia.

Deckard popatrzył na swoje palce splecione na kolanach, potem na słomkę wystającą z siennika, którego pokrycie wyblakło już i przetarło się gdzieś po licznych praniach. To było jego łóżko, odkąd wyrósł z kołyski. To samo łóżko, w tym samym pokoju, w tym samym skromnym domu, w tej samej miejscinie.

Tu nigdy nic się nie dzieje.

Kiedy podniósł wzrok, oczy matki lśniły w miękkim świetle lampy.

- Kochałam twojego ojca, na swój sposób. Ale nie jest moim przeznaczeniem odrzucić dziedzictwo i

nazwisko, które noszę. Twoim też nie. Przepowiedziane zostało, że horadrimowie powstaną znowu, gdy wszystko będzie wydawać się stracone, a nowy bohater poprowadzi ich do bitwy o Sanktuarium. Rozumiesz? Twoim przeznaczeniem są wielkie rzeczy.

Cain zacisnął pięści.

- Wielkie? Horadrimów już nie ma, a ty zostałam bajarką, żeby zappełnić pustkę. Ale ludzie w Tristram tylko się z ciebie śmieją. Rozejrzyj się, matko! Gdzie są twoje anioły i demony? Gdzie bohaterowie? Horadrimowie wyginęli już dawno i całe miasto się z tym zgadza.

Zerwał się, podszedł do maleńkiego okienka. Dygotał jak w chorobie. *Jesteś ostatnim z dumnego rodu.* Nie chciał już dłużej słuchać tych bzdur. Chciał, by zostawiono go w spokoju, sam na sam z książkami.

Noc był ciężka wilgocią, zgęstniała mgła pełzła po ziemi, owijała się wokół słupów, kłębiła pod zawieszonymi

na nich lampami. Deckard słyszał, że jego matka się poruszyła, ale nawet nie drgnął. Obrócił się dopiero,

słyszając trzask płomienia. Aderes trzymała jego księgę nad lampą. Suche strony zajęły się ogniem. Ogień odbił

się czerwienią w oczach matki.

Deckard wyrwał jej książkę i raz po raz uderzył okładką o własną pierś, ale tylko się poparzył, rzucił więc księgę na podłogę i zdeptał pełgające po niej płomyki.

Dysząc ciężko, podniósł spojrzenie na matkę.

- Coś zrobiła?

- To nie jest częścią twojego przeznaczenia - odpowiedziała.

- Powinieneś czytać teksty pozostawione przez Jereda. Przechowuję je dla ciebie, aż będziesz gotowy.

Gapił się na to, co pozostało z księgi o Zachodnich Marchiach. Strony były zwęglone. Nie do uratowania.

Gniew wezbrał mu w piersi i zacisnął się na gardle.

- Demony mieszkają w tobie, matko. Przysięgam, że tak właśnie jest. Skoro istnieją, jak twierdzisz, niech przybędą. Niech się pokażą!

Z ust matki wyrwał się szloch, zdławiła go dłońią. Zatoczyła się.

- Zważ, czego sobie życzysz, Deckardzie. Nie wiesz, o co prosisz...

- Niech przybędą!

Jego wysoki krzyk wypełnił noc i odbił się echem w ciemności. Zdawało się, że świat zamarł i Deckard

poczuł lodowatą pieśczołę chłodu na gołych łydkach.

Chłopak zadrzał na poły ze strachu, na poły w oczekiwaniu, w pragnieniu zmiany, jakiejkolwiek, byle tylko

pozwoła mu opuścić to miejsce. Wiedział, że w przeciwnym razie podzieli los swego ojca i spędzi życie

w sklepie garbarza albo będzie sprzedawał mięso nielicznym przyjezdny, którzy na własne oczy chcieli

zobaczyć majestatyczne ruiny siedziby starego zakonu horadrimów. Deckard umrze tu, jego kości zostaną

pogrzebane w tutejszej ziemi i nikt nie będzie pamiętał, jak żył i jak skonał.

- Chcę wierzyć - powiedział ze strasliwym znużeniem.

- Ale nie potrafię.

Matka potrząsnęła głową.

- Nie mogę zatem ci pomóc - odparła. - Jesteś już stracony.

Zaszlochała głucho i wyszła, zostawiając na stoliku lampę, którą ze sobą przyniosła.

Deckard chciał pobiec za nią, powiedzieć, że mu przykro, że tak naprawdę wcale tego wszystkiego nie

myślał, ale nogi wrosły mu w ziemię. Może więc właśnie tak myślał. Płomień lampy zamigotał, jakby poruszony

oddechem niewidzialnej istoty. Na ścianach zatańczyły cienie, a chłopakowi wydało się, że słyszy

szept:

- Deckaaaaard...

Odwrócił się gwałtownie, by spojrzeć w maleńkie okno, uchylone w ciemność nocy. Napływające stamtąd powietrze było lodowate, o wiele zimniejsze, niż powinno. Deckard wyrżał, mrużąc oczy, ale nie zobaczył nic, tylko mrok i mgłę. I ruch od strony pół. Aż podskoczył, gdy bezpański pies, szukając resztek, przemknął z cichym skomleniem i zniknął we mgle między domami.

Cain spojrział na szczyt wzgórza, gdzie czerniał stary klasztor, niczym pusta starożytna łupina, wykorzystana

i odrzucona. Chłopak ciasniej otulił się tuniką, nagle boleśnie świadom swojej arogancji. W głębi serca modlił

się, by coś się wydarzyło, coś, co pozwoli mu uniknąć drogi, jaką widział przed sobą, ale wiedział, że nic takiego się nie stanie. Prawdziwe życie znacznie różniło się od tego, co głosiły legendy i mity.

Podniósł zniszczoną księgę o Zachodnich Marchiach. Zwęglone brzegi stron rozsypały się pod jego dotykiem.

Niech przybędą.

Potrwa to pięćdziesiąt lat, ale życzenie Deckarda Caina się spełni.

## **Część Pierwsza. Cienie**

### **Ruiny Tajnego Repozytorium Vizjerei, Pogranicze, 1272**

Podczas mrocznych zdarzeń, które nadeszły i potoczyły się w zawrotnym tempie, nie dało się zauważyć, kiedy runęły granice między światami. Może stało się to podczas wybuchu góry - przypominającego starcie dwóch wojowników, którzy pędzą na spotkanie przeznaczenia z obnażonymi mieczami i wydają się niepodatni na ciosy, dopóki nie zaczną się chwiać, póki krwawa piana nie zabarwi ich warg, póki śmiertelne rany nie powalą ich na kolana.

Ale może wszystko zaczęło się właśnie tutaj, w niewyobrażalnym upale Pogranicza, wśród ruin tuż na skraju pola widzenia. Kiedy dwóch podróżników zbliżyło się do szczytu ostatniej wydmy, usłyszało może odległe dzwonięcie, ten niesamowity dźwięk, jaki wydaje kawałek metalu uderzony młotem, wibrując na granicy słyszalności. Dźwięk, który przyprawia o ciarki.

Przybysze zatrzymali się, by ukoić pragnienie. Słońce odbijało się od nieskończonego morza piasku i przypiekało skórę. Młodszy z wędrowców, dumny rycerz Zachodnich Marchii, w złotej zbroi i z czerwoną tarczą, splunął żółcią i wytarł lśniąca od potu twarz kawałkiem gałgana, pociągnął solidny łyk z bukłaka, po czym wręczył go towarzyszowi. Starszy, odziany w tunikę z kapturem, z torbą przewieszoną przez plecy, przełożył kij, na którym się opierał, do drugiej ręki i z wdzięcznością przyjął naczynie. Mężczyzna nosił pas ozdobiony splątanymi wzorami w kolorze zaschniętej krwi i był tak chudy, że powinien obawiać się nagłych porywów wiatru.

Długa broda i dzikie białe włosy sprawiały, że na pierwszy rzut oka mógł się wydać szaleńcem, ale była w nim siła, którą młodszy towarzysz zaczynał dostrzegać, im dłużej razem podróżowali. Starszy mężczyzna szedł wolno, ale w niezmiennym tempie bez względu na to, czy wędrowali w dzień, czy w noc, i rycerz nie raz, nie dwa miał trudności, by dotrzymać mu kroku. Stary wskazał na prawo, gdzie piasek tworzył wgłębienie długie na jakieś sześć metrów.

- W tym miejscu rekin wydmowy wylazł na powierzchnię, żeby się pożywić - rzucił cicho. - Stają się bardziej agresywne z nadejściem ciemności. Musimy być bardzo ostrożni.

Kraniec zagłębienia znaczyły czerwone bryzgi. Krew. Młody słyszał o miażdżycielach, potwornych bestiach podobnych smokom, o wielkich zębach i potężnych szponach, którymi mogły rozerwać człowieka na strzępy. Z mieczem w dłoni mógł stawić czoła każdej istocie z krwi i kości. Ale to istoty z innego wymiaru są największym zagrożeniem, powtarzał sobie w duchu, choć żadnej dotąd osobiście nie spotkał. Jednak rycerz widział blizny, jakie znaczyły ciało starego, i trochę zdążył się już dowiedzieć, skąd się wzięły. Dlatego nie wątpił, że jego towarzysz potrafi skutecznie bronić swego życia. Podjęli marsz po krótkiej przerwie i już na szczycie następnego wzniesienia znaleźli to, czego szukali.

+

Blizniacze kolumny sterczały z piasku niczym wyszczerbione kły o wierzchołkach utraconych  
nieludzką siłą. I może tak w istocie było, pomyślał Deckard Cain, jeśli to rzeczywiście jest wejście do  
ruin sekretnej biblioteki Vizjerei. Wolał sobie nie wyobrażać, jakie potworności spragnione krwi  
magów odwiedzały to miejsce w minionych latach.

Deckard Cain i jego towarzysz wędrowali od wielu dni. W ostatnim mieście zostawili swoje muły i  
posta nowili odbyć resztę drogi pieszo. Wierzchowce nie na wiele by się zdały na tym sypkim piachu.  
Miejsce, do którego zmierzali, leżało daleko. Cain nie miał wątpliwości, że ruiny pozostałyby ukryte  
przez kolejne lata, gdyby nie jego młody towarzysz, który przyniósł mu mroczne teksty Zakarum,  
teraz bezpiecznie schowane

w jego torbie. Starożytna biblioteka Vizjerei w Kaldeum była o wiele większa i lepiej znana wśród  
magów,

ale ta, jeśli faktycznie istniała, mogła okazać się o niebo ważniejsza.

To była bardzo długa podróż. Po niełatwym zwycięstwie nad Baalem na Górze Arreat i zniszczeniu  
Kamienia Świata Deckard Cain nie zdołał przekonać towarzyszy, że niebezpieczeństwo grożące  
Sanktuarium

bynajmniej nie zostało zażegnane. Wręcz przeciwnie, o ile to, co wyczytał, i to, co zrozumiał ze  
zwojów horadrimów, było prawdą. Archanioł Tyrael ostrzegał przed tym, zanim zginął. Cain  
wyczuwał subtelną zmianę

w otaczającym go świecie, zmianę, która odzwierciedlała treść przepowiedni, zachwianie istniejącej  
od wieków

równowagi między Królestwem Niebios a Płonącym Piekłem. Utrata Kamienia Świata była  
druzgocącym

ciosem. Sanktuarium stało się bezbronne. I jakby tego było mało, Cain zaczął śnić o dzieciństwie i  
historiach

opowiadanych przez matkę. Noc w noc budził się zlany potem. Walczył przeciwko niezliczonym  
armiom ciemności pozbawiony jakiegokolwiek ochrony albo załamany siedział skulony w klatce  
zawieszanej na wysokim

słupie, a potworne istoty urągały mu i kpiły bez końca.

Pojawiały się jeszcze gorsze przeżycia: duchy z przeszłości, które, jak sądził, dawno już pogrzebał.  
Nie miał takich koszmarów od upadku Tristram. Poczucie winy z powodu tamtych wydarzeń zżerało  
go żywcem. Cain przybył zbyt późno, by uchronić swój dom przed inwazją demonów. I za bardzo był  
pochłonięty własną osobą, by zmienić to, co wydarzyło się na Górze Arreat.

Towarzysze Caina uparli się świętować zwycięstwo. Chcieli powrócić do tych, których kochali,  
pozbierać resztki dawnego życia. Nie mógł mieć im tego za złe. Ale na Caina nikt nie czekał,  
wyruszył więc, by



poskładać w całość te kawałki, które pozwolą mu poznać ukryty wzór. Jeśli inwazja rzeczywiście była blisko,

potrzebował pomocy, horadrimowie zostali powołani do walki ze złem, ale dawno już pochłonęły ich mroki dziejów. Głos jego matki wracał do Deckarda echem z przeszłości.

*Krew Jereda płynie w twoich żyłach, jesteś... jesteś ostatnim z dumnego rodu bohaterów.*

Akarat zaczął schodzić ze zbocza, ale Deckard złapał go za ramię. Paladyn aż dygotał, energia i brawura typowa dla młodego wieku zagłuszała te bardziej wrażliwe zmysły, które może dałyby rycerzowi powód, by zwolnić.

Ale Cain to poczuł, jak zapach niesiony wiatrem. Zapach niebezpieczeństwa.

Akarat dobył miecza gotów szarżować w dół na spotkanie czegokolwiek, co tam czekało.

- Tu jesteśmy odsłonięci - powiedział. - Lepiej się nie zatrzymujmy. Ochronię cię przed miażdżycielami i osami piaskowymi. Poza tym może tam nic nie ma.

- Powinniśmy jednak zatrzymać się na chwilę - odparł Cain. - Teksty mówią o zakłęciu, które strzeże biblioteki przed wzrokiem podróżnych. Te kolumny powinny pozostać dla nas niewidoczne. Coś osłabiło czar.

Resztę dopowiedział już tylko w duchu.

Skoro są tu tak potężne artefakty, to i potężne siły muszą stać na ich straży.

Ukląkł w rozgrzanym piachu i zaczął przeszukiwać torbę. Ten młody człowiek tak bardzo przypominał mu

kogoś, kogo znał lata temu, przyjaciela, który zszedł do piekielnych katakumb, próbując ocalić Tristram. Za ten

nadmiar pewności siebie drogo przyszło mu zapłacić.

I całemu Sanktuarium też. Cain nie zdołał go ocalić.

Jeśli mam rację, to potrzebujesz ochrony, młody przyjacielu, pomyślał. Wyjął z torby przedmiot przypominający lunetę z bursztynowymi soczewkami i uniósł go do światła. Słońce zniżało się powoli do horyzontu, a powietrze migotało w ciepłym żółtym świetle. Do zachodu została jeszcze z godzina. Najlepiej byłoby rozbić obóz, a badanie ruin zacząć o poranku, ale rycerz miał rację, na szczycie wzgórza pozostawali całkowicie nieosłonięci.

I żaden z nich nie miał ochoty spotkać się z tym, co mogło wypełznąć z piasku, gdy tylko pogłębią się cienie.

Deckard wstał, starając się ignorować ukłucia bólu w krzyżu i trzeszczenie w kolanach, nieustannie przypominające mu o jego wieku. Jak to się mogło stać?

Przecież dopiero co był chłopcem i hasał po polach, obserwował krowy pasące się w wysokiej trawie i kradł

jajka z kurnika Grosgrove'a. Jakże krótkie okazało się życie, przesypywało się między palcami jak ten

przeklęty piach, miało tak nieuchwytnie...

Caina znów opadły wątpliwości. Większość życia spędził, zaprzeczając swemu dziedzictwu, samolubnie zakopawszy się wśród ksiąg, tym samym niszcząc bezpowrotnie to, co kochał. Potrzeba było pięćdziesięciu lat, by zaakceptował swoje przeznaczenie. Czy w ogóle mógł się uważać za horadrima?

Nie był bohaterem, bez względu na to, co powtarzała mu matka. Ogrom odpowiedzialności spoczywający

na jego starych i kruchych ramionach przygniatał go do ziemi. Coś potwornego miało się wydarzyć, coś tak

strasznego, że poprzednie ataki będą przy tym dziecięcą igraszka. A jednak nikt, komu opowiadał o zbliżającej się inwazji demonów, nie wierzył. Nikt z wyjątkiem Akarata. Wszyscy uważali Caina za zgrzybiałego

starego głupca, w najlepszym wypadku. W najgorszym - za niebezpiecznego starego głupca. Ludzie pochłonięci byli własnym życiem, zwyczajnym, w którym z zasady nie gościły anioły czy demony. Nie widzieli

tego, co Deckard, nie śnili jego snów, w przeciwnym wypadku zrozumieliby.

Rycerz mruknął. Ponownie dobył miecza, przestępując z nogi na nogę. Wcześniej, w Zachodnich Marchiach, z przyjemnością słuchał opowieści starego, domagając się coraz to kolejnych, aż do późnej nocy. Ale teraz, gdy znalazł się w ich środku, pragnął działać. Nosił imię po twórcy wierzeń Zakarum i było to imię bardzo stosowne. Młody i uparty, był jednak przy tym prawdziwym wiernym, nieskończenie gorliwym wyznawcą.

Cain wymruczał krótką inkantację, aktywując moc artefaktu.

- Spójrz na ruiny przez te soczewki - polecił, podając przedmiot rycerzowi. - Szybko, zanim zblednie.

Paladyn wykonał polecenie i aż się zachłysnął. To wystarczyło, by upewnić Caina, że artefakt działa bez

zarzutu.

- Na światłość... - powiedział cicho rycerz. Popatrzył na ruiny gołym okiem i ponownie podniósł artefakt.

- Niesamowite.

Oddał przedmiot Cainowi. Oczy miał wytrzeszczone ze zdumienia.

Teraz stary zerknął przez soczewki. Ich kolor barwił scenerię na pomarańczowo, jakby gdzieś tam płonął

ogień. Poza dwoma kolumnami znaczącymi wejście widział potężną budowlę i otaczający ją teren. Więcej

kolumn, zniszczonych w różnym stopniu, tworzyło szpaler prowadzący do wejścia. Ściany wznosiły się

do miejsca, gdzie przed wiekami rozerwała je potężna eksplozja. Kamienne bloki leżały tam, gdzie upadły, na

poły zagrzebane w piasku.

Cain dokładnie przyjrzał się ruinom, zanim opuścił soczewki. Znów widział jedynie dwie ukruszone kolumny. Czar, na tyle potężny, by strzec budowli przez wieki, teraz zaczął słabnąć. Ale dlaczego?

Akarata nie dręczyły wątpliwości, nie zamierzał też dłużej czekać. Był już w połowie zbocza i parł naprzód,

na ile pozwalała mu zbroja.

Obejrzał się na Caina. Twarz rozświetlało mu podniecenie i ostatnie promienie słońca.

- No chodźże - ponaglił Deckarda. - Potrzebujesz pisemnego zaproszenia?

### **Ukryta komnata**

W pobliżu ruin powietrze było chłodniejsze. Zanim Cain i Akarat dotarli do masywnych kolumn, zakłęcie odsłaniające w lunecie wygasło, ale nie było im już potrzebne.

Cienie obu filarów kładły się na ścieżce czarnymi liniami. Czar ukrywający ustępował powoli i majestatyczne

ruiny wyłaniały się niczym góry z kłębow mgły. Potrzaskane kamienie wyrastały z piasku, wygładzone

przez wiatr i pokryte starożytnymi runami - widome świadectwo, że oto podróżnicy trafi li do miejsca wielkiej

mocy. Cainowi serce biło coraz szybciej, a dłonie wilgotniały. W podeszwach stóp czuł wibracje odległego

pomruku dochodzącego z głębi ziemi. Albo może było to coś zupełnie innego.

Panował tu mrok. Chociaż promienie słoneczne wciąż jeszcze ślizgały się po kamieniach, niewiele dawały światła i ciepła. Poczul to nawet paladyn, im głębiej wchodzili w ruiny, tym mniej pewnie stawiał kroki.

Przed nimi rozpościerały się pozostałości świątyni, dach, który zapadł się pod własnym chyba ciężarem, zawalił wejście. Masywne belki sterczały w niebo niczym żebra olbrzymiej bestii. Jeżeli legendarne księgi rzeczywiście istniały, tutaj właśnie zapewne je ukryto. Ale ruiny mogły w każdej chwili pogrzebać poszukiwaczy pod zwałami gruzu i kamieni.

W ciszy rozległ się szelest jakby zeschniętych liści. Akarat natychmiast wyciągnął miecz.

- Słyszałeś to? - szepnął do towarzysza. Cain skinął twierdząco głową, stając obok młodzieńca.

- Może jednak nie jesteśmy tu sami - odpowiedział cicho.

- To znaczy...? Myślisz, że to zwierzę?

- Może. - Cain nie miał wątpliwości, że rycerz jest zarazem wystraszony i podekscytowany. Opowieści o atakach demonów to jedno, ale stawanie twarzą w twarz z czymś, co większość ludzi uważała za legendę, to co innego. Cain wiedział to aż za dobrze.

Szelesty zawirowały wokół nich i przycichły, jakby się oddaliły, by powrócić niczym szum fal albo cichy pomruk. Cain poczuł kłujący dreszcz rozgrzewający mu skórę. Wyciągnąwszy przed sobą laszkę niczym amulet, ruszył po potraskanym bruku. Akarat szedł tuż za nim.

- Zasłoń uszy - polecił mu Deckard. - Jakbyś był głuchy. Jeśli zabrzmiały głosy, nie słuchaj ich.

- Nie rozumiem...

- Jeśli jest tu zło, będzie chciało przeciągnąć cię na swoją stronę, skazać zepsuciem, poznać twoje słabości. Zignoruj jego głos. Cokolwiek by to było, przysięgam, że nie zostało przeznaczone dla twoich uszu.

Dotarli do skraju gruzowiska i zaczęli rozglądać się w poszukiwaniu drogi do środka. Wypatrzyli przejście na tyle duże, by zmieścić się człowiek. W głębi widać było jedynie ciemność. Cain rzucił z ramienia torbę i wyjąwszy rozpadającą się księgę czarów, zaczął ostrożnie przerzucać strony. Szybko znalazł właściwe słowa. Kiedy je wypowiedział, szklana kula na jego lasce rozbłysła błękitnym światłem. W miejscu osłoniętym od wiatru na piasku pozostał niewyraźny ślad stóp. Człowiek albo coś mu podobnego przechodziło tędy wcale niedawno.

Cain odłożył książkę i spojrzał na rycerza, który z rozchylonymi ustami wodził oczyma od Caina do rozświetlonej kuli.

- Magia? Prawdziwa?

- Proste zaklęcie. Jak to z lunety, zamknięte w artefakcie. Po prostu mam wiedzę, jak zmusić je do działania.

To miejsce magii, wybrane, przynajmniej po części, z powodu mocy w tej ziemi. W takim miejscu czary są silniejsze.

- Naprawdę jesteś ostatnim z horadrimów?

Cain zastanowił się nad odpowiedzią.

- To, czego się nauczyłem, pochodzi z ksiąg - rzekł wreszcie. - To zapomniany zakon. Gdyby ostał się ktokolwiek z jego członków, pewnie byłby lepiej przygotowany niż ja. I już dawno wyszedłby z ukrycia.

- Skoro więc jesteś ostatni, to co teraz?

- Muszę zrobić, co w mojej mocy, żeby powstrzymać zło, które zagraża Sanktuarium. - Stary wzruszył

ramionami. - I modlić się, żeby nie było na to za późno.

I niech nam Niebiosa dopomogą, pomyślał na koniec, ale nie wypowiedział tych słów na głos.

Akarat zerknął w lewo, jakby spodziewał się, że atak nastąpi właśnie z tej strony.

- Jeszcze wiele musimy się nauczyć o tym świecie - szepnął. Wyglądał teraz niczym chłopiec, który przypadkiem zobaczył coś, czego widzieć nie powinien, i usilnie stara się w tym znaleźć jakiś sens. Nie zauważył śladu stóp.

Cain położył mu dłoń na ramieniu.

- Walczyłeś już kiedyś?

- Ja... walczyłem nie raz - odparł rycerz. - Patrolowałem miasto, dowodziłem swoich umiejętności na turniejach...

- Nie mówię o turniejach czy patrolu - przerwał mu łagodnie Cain. - Tylko o starciu z przeciwnikiem, który wdepcze cię w ziemię, gdy tylko będzie miał taką szansę. Albo i gorzej.

Akarat potrząsnął głową. Zbyt wiele miał zapału, by udawać bardziej doświadczonego.

- Niewiele było ku temu okazji od czasu, gdy osiągnąłem odpowiedni wiek.

- Zapomniałem. Bitwa na Górze Arreat miała miejsce lata temu. Nie mogłeś mieć więcej niż...

- Dziesięć lat - podpowiedział Akarat, spoglądając na starego roziskrzonym wzrokiem. - Pamiętam opowieści tych, którzy stamtąd wrócili. Zazdrościłem im.

- Żaden wstyd - powiedział Cain. - Od tamtej pory na świecie zrobiło się znacznie spokojniej. Przynajmniej na pozór. Wkrótce będziesz miał okazję zaprawić się w boju. Na razie jednak chcę, abys strzegł tego wejścia.

- Potrząsnął głową, słysząc protesty. - Jestem starym, słabym człowiekiem i nie noszę miecza. Ale nie noszę też zbroi, więc zdołam wcisnąć się w każdy zakamarek i być może znajdę coś, co nam pomoże. O wiele bardziej przydasz się tutaj, pilnując, żeby nic nie zaszło mnie od tyłu.

Akarat stanął w rozkroku i ujął oburącz rękojeść miecza.

- Nie zawiodę cię - obiecał.

Cain uśmiechnął się, ale gdy na powrót zwrócił się ku ciemności świątyni, jego uśmiech zgasł. Ponownie wspomniał bohatera, którego znał dawno temu w Tristram, najstarszego syna króla Leoryka, znanego później pod imieniem Mrocznego Wędrowca. Zwrócił się do niego tymi samymi słowami, kiedy ruszał w głąbowych przeklętych katakumb pod katedrą. Cain sam uczył chłopca i kochał go - przynajmniej na tyle, na ile wtedy zdolny był kochać.

Pochylił głowę, wchodząc w wąską szczelinę prowadzącą w trzewia świątyni. Przejście było niskie i tak wąskie, że musiał się pochylić i ugiąć kolana, aby precyzyjnie się bokiem między skałami. Ból znów ukąsił go w plecy, niewidzialny wróg, zawsze gotów do podstępного ataku.

Może jednak nie powinienem iść sam, pomyślał Cain. Może to zadanie dla kogoś młodszego.

Jednak zaledwie kilka kroków dalej przejście się otworzyło i mógł się rozejrzeć i unieść laskę. Znalazł się u szczytu grubo ociosanych stopni prowadzących w głąb ziemi. Były nieźle zachowane, najwyraźniej niżej

położona część świątyni przetrwała w nie najgorszym stanie. W pyłe dostrzegł więcej śladów, niektóre

biegły w dół, inne do góry. Nie sposób było powiedzieć, kiedy je pozostawiono.

W powietrzu unosił się zapach stęchlizny i pleśni, jak z krypty, której nie otwierano przez stulecia. Cain

znów usłyszał odległy szelest i przez chwilę próbował przebić spojrzeniem gęstą czerń, ale niczego nie dostrzegł.

Począł wolno schodzić, z każdym stopniem powietrze wydawało mu się chłodniejsze. Wreszcie dotarł do kamiennej podłogi. Blask laski wyłowił z ciemności potężną komnatę, podtrzymywaną przez masywne drewniane belki osnute gęstymi pajęczynami. W drewnie wryto runy mocy i te niosące ostrzeżenie. Cain czytał je z rosnącym zrozumieniem. Te znaki zostawili następcy żyjącego przed wiekami Bartuka. Ten mag Vizjerei wezwał demony na swe usługi, a ich moc go spaczyła i przepełniła niegasnącą żądzą krwi. Jego starcie z bratem Horazonem było punktem kulminacyjnym dawnej Wojny Klanów i pociągnęło za sobą tysiące ofiar.

Jeśli Cain odnalazł właśnie skarbiec armii Bartuka, to każdy artefakt będzie tu naznaczony mocą demonów.

W najlepszym wypadku ich przydatność okaże się wątpliwa, ale najpewniej będą po prostu niebezpieczne.

Czyżby przyjscie tutaj było fatalną pomyłką?

Drgnął, gdy z sufi tu posypały się nań drobiny piasku i kurzu, coś dużego i czarnego przebiegło po jednej z belek i zniknęło w ciemności. Zbyt duże, jak na pająka, a żaden szczur nie mógłby zwiisać z belki do

góry nogami. Lepiej nie przyglądać się temu za bardzo...

Pośrodku pomieszczenia coś zamigotało w blasku światła. To miejsce wolne było od kurzu i pyłu. Cain

zobaczył krąg skomplikowanych run wrytych w kamieniu. Portal. Dokąd prowadził, Deckard mógł jedynie

zgadywać. W kręgu spoczywał kamień barwy krwi. Ktoś chciał go stąd usunąć i na podłodze zostały głębokie

szczyrby, najwyraźniej jednak próba spełzła na niczym. Cain ukląkł przy skalnym odłamku, studiując z uwagą runy. Jego puls przyspieszał w miarę czytania.

Wymówił głośno kilka prastarych słów, uwalniając w ten sposób kamień, i wsunął go do torby.

Poszedł po śladach stóp do niszy w przeciwległej ścianie. Przegniłe deski zwiisały z połamanymi

podpór

pozostałości starożytnej biblioteki. Tutaj przed wiekami przywoływano istoty spoza tego świata. Może nawet

portal wiódł prosto do Piekieł. Z regałów niewiele zostało, nie wspominając już o księgach. Cain pochylił się,

dostrzegłszy skrawek zółci za jedną z większych drzazg, i wyciągnął zza niej pergamin, pozwijany i poznaczony kropkami pleśni.

Coś się poruszyło w cieniu po prawej. Deckard odwrócił się, unosząc wyżej lśniąca kulę.

Cień sprawiał wrażenie żywego, kipiał i przelewał się niczym wzburzona woda. W tej samej chwili głos, niczym

odległe zawroźnienie wiatru, wionął przez komnatę, a staremu włosy zjeżyły się na karku.

- *Deckaaaaarrddd Caiinnnn...*

Cain cofnął się pamięcią do czasów, kiedy był tylko małym chłopcem, a tajemniczy głos wzywał go zupełnie jak teraz. Począł się wycofywać, jedną ręką przeszukując torbę, w drugiej ściskając laskę, która chroniła go przed ciemnością. Już nie był pewien, co właściwie słyszał. Może to tylko wiatr świszczący wśród popękanych ścian, a może umysł płatał mu fi ggle po zbyt długim pobycie na słońcu?

Jednak głos odezwał się znowu i brzmiał jak szelest kości przesypujących się w odległym grobie.

- *Wiele duchów cię nawiedza, stary człowieku, i wszystkie nie śpią.*

Zgrzyt metalu o kamień zdawał się dobiegać ze wszystkich stron. Raz jeszcze cień zagotował się, zgęstniał i rozwiął, tylko po to, by kawałek dalej przybrać kształt wojownika z mieczem. W czerwonych oczach

stwora płonął ogień Piekieł.

Cain wiedział, co widzi, obraz wydarty z głębi jego umysłu, który miał osłabić, złamać wolę Deckarda.

Obraz Mrocznego Wędrowca. Dym zawirował, zakłębił się i podzielił na dwie sylwetki, jedną wyższą i niewątpliwie męską, drugą niższą i drobniejszą. Dreszcz wstrząsnął ciałem Caina, gdy stare, dawno zagrzebane wspomnienie wyrwało się z otchłani niepamięci. Zacisnął powieki, czując, że tuż przed nim otwiera się otchłań najczarniejszej rozpacz i za chwilę go pochłonie. Nie wolno mu słuchać.

- Nadchodzi burza - odezwał się głos od strony schodów. - Musimy poszukać schronienia...

Cokolwiek kryło się w tej komnacie, zasyczało z zadowoleniem, gdy Akarat wszedł, mrugając niepewnie

oślepiiony magicznym blaskiem.

- Cofnij się! - krzyknął stary.

Cień rozwinął się i popłynął ku paladynowi.

A Akarat, niczym skończony głupiec, rzucił się naprzód, dobywając miecza. Ciął oburącz w dół, rozszepiając cień na dwoje. Ostrze skrzesało iskry z kamiennej podłogi. Chłopak uniósł broń i machnął ponownie, tym razem poziomo. Niczego nie działał. Ciemność oplatała go pasmami niczym dym, wiła się wokół jego nóg i sięgała wciąż wyżej i wyżej. Cain ukląkł w pyle i wsparł łaskę o posadzkę.

Rycerz zaczął krzyczeć. Zwoje Caina rozsypały się po podłodze. Gdzie to jest? Przerzucał je gorączkowo. Wreszcie znalazł. Rozwinął delikatny papier i wykrzyczał słowa mocy tą resztką sił, jaka mu jeszcze pozostała. Demon zaskrzeczał wściekle. Nieludzki głos urwał się na najwyższej nucie, gdy pergamin w rękach Caina zamienił się w proch.

W komnacie pojaśniało nieco, czar stworzył dwie lśniące szmaragdowo sfery, które chroniły obu mężczyzn przed zakusami demona. Czarny dym wił się, ale nie mógł przeniknąć przez niewidzialną granicę czaru. Cainowi udało się zobaczyć fragmenty kończyn o wielu stawach, jakby owadzich, zaraz pochłonięte przez ciemne kłęby.

Akarat podszedł do starszego towarzysza, pomógł mu pozbierać zwoje i wstać, po czym spojrzał na czerń, która zdawała się napierać raz po raz na szmaragdowe sfery. Młodzieniec oddychał ciężko, twarz zrosiły mu kropelki potu.

- Jak... jak to zrobiłeś?

- Zaklęcia klanu Ammuit - odparł stary. - To właściwie iluzja i zapewni nam bezpieczeństwo jedynie na krótko.

- Czyli jednak jesteś prawdziwym czarodziejem!

- Jestem tylko uczonym, który korzysta z tego, co odkryli inni.

Akarat odwrócił się, by spojrzeć na stwora, który ich zaatakował.

- Co to jest?

- Sługus Pomniejszego Zła, posłany tu, by strzec tej ukrytej komnaty. Nie możesz słuchać tego, co do ciebie mówi ten cień, bo tylko ściśnie ci serce i zaczniesz dręczyć, aż pęknie.

- Widziałem... rzeczy. Straszliwe rzeczy. - Rycerz potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić złe myśli. -

O tobie... i o mnie.

Odwrócił się, a w oczach miał szaleństwo.

- Nie możesz w to wierzyć, mój synu. Musimy wyjść stąd jak najszybciej.

- Ja... - Twarz młodzieńca pociemniała nagle. - To coś jest złe. Musimy to zabić!

- To coś nie ma ciała, nie jest z krwi i kości...

- Mogę to pokonać. Muszę spróbować, na wszystkie świętości. Mądrość Zakarum naucza, jak oprzeć się złu, jak walczyć z nim do ostatniego tchu. Takie istoty zdeprawowały wysoką radę, zamordowały Kalima,

pograżyły naszą świątynię w mroku. - Akaratowi pot zlepił włosy, ale młodzieniec uniósł miecz i



odwrócił się

do zjawy. – Archanioły wesprą mnie swą mocą, przysięgam. Jest już stracony. Serce Caina skurczyło się boleśnie, poczuł chłód przenikający go do kości. Starzec wyciągnął dłoń, by dotknąć ramienia swego młodego towarzysza.

- Istnieje sposób walki z demonami, ale nie klingi do tego trzeba...

Z cienia wyłoniła się czarna twarz o pustych oczodołach i szeroko rozwartych ustach. Akarat zachłysnął się i spał, gdy twarz zaczęła się zmieniać, póki nie przybrała rysów paladyna, które wykrzywiły się ze zgrozy, kiedy potworna rana rozdarła cienistemu popiersiu gardło. Głowa przechyliła się do tyłu, a ze strasznego kikuta dym buchnął na podobieństwo strumieni krwi. Ze zdławionym szlochem młody paladyn rzucił się na spotkanie demona. Błysk rozjaśnił komnatę, gdy rycerz przekroczył szmaragdową sferę czaru ochronnego. Cain uniósł ramiona, by się osłonić, i upadł na plecy. Wcześniej jednak zobaczył, jak miecz młodzieńca tnie pustkę.

Światło zatrzeszczało niczym wyładowanie błyskawicy. Potworny krzyk Akarata urwał się jak ucięty

klingą. Świat jakby zamarł, a potem czas zaczął biec do tyłu i do Caina znowu wróciło to, czego tak bardzo nie

chciał pamiętać – sny, w których był samotnym i zagubionym dzieckiem krzyczącym w ciemności.

Czar został przełamany, ciemność zalała pomieszczenie, a stary powoli dźwignął się i uniósł laskę. Lśnienie

kuli przygasło nieco, jak gdyby cienie w komnacie absorbowały światło. Błękitny blask pozwolił Cainowi

zobaczyć swego towarzysza. Rycerz stał nadal tyłem do starego, tylko ramiona miał opuszczone, a plecy zgarbione.

Upuścił miecz, ręce opadły mu bezwładnie.

- Akaracie! - Cain postąpił krok naprzód zżerany przerażeniem. Młodzieniec nie odpowiedział, tylko jego ramiona unosiły się nieznacznie i opadały, jeszcze oddychał.

Muszą opuścić to miejsce. Przyjście tutaj było błędem. Lodowaty podmuch musnął policzki Caina, wypełnił nozdrza odorem śmierci. Kiedy stary dotknął ramienia swojego towarzysza, chłód przeniknął mu palce aż do kości. Młody drgnął, ale twarz, którą zwrócił ku Deckardowi, nie była już twarzą Akarata.

Sucha, szorstka skóra napinała się na opuchniętych brwiach i obrzmiałych policzkach, popękane wargi

krwawiły. Oczy, którymi jeszcze niedawno spoglądał Akarat, teraz wbiły się w Caina z zimną nienawiścią.

Deckard pomyślał o ciele gnijącym powoli w bezimiennym grobie i wiedział, że musi odwrócić wzrok i uciekać

albo ciemność ogarnie i jego duszę, zamieni krew w strugi czerni.

- *Czekaliśmy na ciebie, Deckaardzie Cainnie.*

- Uwolnijcie go - zażądał starzec.

- *Raczej nie.* - Istota uśmiechnęła się, pokazując długie, ostro zakończone zęby. - *Tyle jeszcze jest do zrobienia, by przygotować nadejście.*

Cain rozpaczliwie usiłował sobie przypomnieć, co znajdowało się w torbie, by znaleźć coś, co mogłoby mu pomóc, ale nie miał żadnego artefaktu, żadnego zwoju, którym można by odpędzić demona. A bez zwojów

i bez artefaktów Cain był zgubiony. Nie miał w sobie magii.

- *Ostatni z horadrimów - zasyczał stwór drwiąco. - Jesteś niczym. Popełniłeś błąd. Rozejrzyj się, spójrz na ślady stóp, na brakujące zwoje. Byli tu inni twego rodzaju i zawiedli. Dlaczego tobie miałyby się udać?*

Inni? Cain popatrzył na ślady stóp w komnacie, niektóre pozostawił on, inne Akarat, ale część była obca. Nikły promień nadziei przebił się przez rozpacz. A jednak Deckard Cain wiedział, że to niemożliwe, w głębi serca wiedział, że jest ostatni.

Nie mógł zaufać nawet jednemu słowu tej istoty. Demon łże. Nie może go słuchać.

*Jesteś ostatnim z dumnego rodu bohaterów.*

- Akaracie! - powtórzył z mocą. - Mówię do człowieka w tej skorupie. Musisz walczyć, synu. Musisz walczyć z tym, co przejęło nad tobą kontrolę.

- *Nasz pan przybywa* - powiedział stwór, oblizując krwawe wargi. Jego oddech rzeźił głośno w piersi Akarata i cuchnął jak tysiąc gnijących trupów. - *Prawdziwy Władca Piekieł. Dopadnie cię, a twoja śmierć będzie długa i przepiękna cierpieniem. Albo może uczyni cię swym niewolnikiem, zmusi, byś służył mu po wsze czasy. Wielu takich jak ty jest z nim już teraz.* - Demon uśmiechnął się szeroko. - *Wśród nich i ci, których znałeś i darzyłeś miłością.*

- Akaracie. Posłuchaj mnie. Nie pozwól, żeby ten stwór wygrał. Możesz zwyciężyć. Moc, by tego dokonać, jest w tobie.

Skóra na ohydny obliczu demona zafalowała i stwór zasyczał jakby z bólu. Cain trzymał laskę przed sobą, a demon się cofał.

- Uwolnij go! - krzyknął stary.

Stwór zasyczał ponownie i znowu pojawiła się twarz Akarata. Młodzieniec zamrugał zdumiony, a potem jego rysy wykrzywiły się odrażająco i rycerz zniknął.

- *Chłopiec nie ma dość sił. Ty też nie.* - Demon postąpił krok naprzód, potem kolejny, aż jego stopa dotknęła porzuconej klingi Akarata. Stwór pochylił się, by podnieść miecz, połyskujący zimno w błękitnym blasku, a potem spojrzał na Caina i wyszczerzył się złośliwie. - *Czy mamy tego użyć? Precyzyjne cięcia. Może z tysiąc kawałków.*

Cain cofnął się niezgrabnie. Zanurzył dłoń w torbie, po raz kolejny próbując znaleźć tam ratunek. Palce drugiej ręki bolały, tak mocno zaciskał je na lasce, jedynej rzeczy, która zdawała się go

oddzielać od powolnej straszliwej śmierci.

Akarat był zgubiony, Cain to wiedział i w duchu oplakiwał mężczyznę, jakim stałby się młody rycerz, gdyby nie napotkał na swej drodze demona.

Dobrze, że ten stwór nie zna prawdy, nie wie, że on nie ma żadnej mocy, a laska nie ma w sobie nic magicznego poza tym jednym zaklęciem...

Natychmiast pożałował tych myśli, ale było już za późno. Demon uśmiechnął się szerzej i postąpił kolejny krok naprzód.

- *Czyli jednak nie prawdziwy horadrim? Oczywiście, że nie. Twoja słabość odłoniła prawdę.*

Cain cofnął się niezdarnie, aż w końcu znalazł się niemal na środku pomieszczenia.

- Odejdź! - Machnął laską. Światło kuli przygasło, a demon uśmiechnął się szerzej. Wyglądało to, jakby powykrzywiana twarz Akarata zapadła się w tym makabrycznym uśmiechu, tworząc czarną dziurę, która

pochłania wszelkie światło i wszystko, co dobre na tym świecie.

- *Czy wiesz, coś rozpoczął? Niebiosa zapłoną, horadrimie. Plaga, jaką przyniósł temu światu Diabło i jego bracia, zblednie wobec naszego przyjscia. Nasz pan ma prawdziwą moc, by obrócić Sanktuarium wniwecz, sprawić, że ziemia zadrży i się rozstąpi. Kaldeum spłonie, archanioły upadną, a Sanktuarium będzie nasze. A ty nie zdążysz temu zapobiec. Żalodne. Twój zbawiciel jest tak blisko. Ukryty na widoku między tysiącami*

*jemu podobnych, nie dalej jak trzy dni drogi stąd. A jednak ty niczego nie wiesz, niczego nie widzisz.*

Cain upadł na kolana. Dłoń wreszcie natrafiła na to, czego szukał, palce zamknęły się wokół klejnotu wydobytego ze środka wykreślonego runami kręgu.

- *Gdzie są teraz twoje anioły, starcze? Gdzie bohaterowie, którzy osłoniliby cię w bitwie? To wszystko, co masz? Tego chłopaczka, którego oddałeś nam, by ukryć własny egoizm i dumę? Nic nie jesteś wart. Tak jak ci, którzy byli tu przed tobą.* - Demon uniósł miecz oburącz i stanął nad Cainem, śmiejąc się skrzekliwie.

Stary cofał się, opierając na rękach. Upuszczona laska potoczyła się i znieruchomiła dwa metry dalej.

- *Zmieniliśmy zdanie. Nie będzie tysiąca precyzyjnych cięć, lecz jedno takie, które strąci ci głowę z ramion.* - Demon przechylił głowę, jakby nasłuchiwał. Cokolwiek usłyszał, sprawiło, że skulił się jak katowany pies, a kiedy się odezwał, nie zwracał się już do Caina, tylko do kogoś niewidocznego dla oczu śmiertelnika, i nawet ton jego głosu zaczął przypominać żalodne skamlenie. - *Jesteśmy spragnieni krwi. Dlaczego nie nadszedł czas?*

Nagle stwór zauważył klejnot zaciśnięty w dłoni Caina. Deckard spróbował ukryć swą zdobycz, ale demon ciął mieczem w jego nadgarstek z taką prędkością, że starzec musiał wypuścić kamień, a i tak ledwie zdołał ocalić dłoń. Ostrze minęło ją o włos.

- *Myślałeś, że zdołasz nas przegnać za pomocą tego?* - Stwór podniósł klejnot i zrobił krok w stronę Deckarda.

- *Jest bezużyteczny bez run i magii, która mogłaby go zbudzić, starcze.*

- Nakazuję ci opuścić to ciało...

- *Milcz!* - Demon uniósł miecz, tym razem jedną ręką, w drugiej ścisnął lśniący czerwienią kamień.

Cain zerknął na posadzkę.

Jeszcze tylko krok...

Demon postąpił naprzód, jego zniekształcone rysy wykrzywiła nienawiść. Nie był świadom tego, że Cain

wprowadził go w pułapkę. Deckard wymówił słowo mocy, które wcześniej odczytał z run i zapamiętał. Słowo

spłynęło mu z warg zaskakująco czyste i dźwięczne.

Demon spojrzał pod nogi, na jego paskudnej gębie odmalowało się zdumienie, gdy zobaczył, że krąg zaczyna

pulsować ostrym światłem. Kamień, który stwór wciąż ścisnął w dłoni, obudził się do życia. Demon zawył

z wściekłości. Na wykrzywionym gniewem obliczu pojawił się cień innego uczucia, niechętnego szacunku.

- *Oszustwo!* - wrzasnął.

Ale Cain nie potrafił cieszyć się ze zwycięstwa, wiedząc, że wraz z demonem skazał na śmierć Akarata. Portal, który pozwalał uczniom Bartuka przywoływać demony z Piekieł, otworzył się w czerwonym rozbłysku. Demon zaskrzeczał z bólu, gdy ściskany przezeń klejnot odpowiedział blaskiem. Miecz brzęknął o podłogę i sylwetka Akarata rozpląnęła się niczym powidok, jaki słońce zostawia pod powiekami.

- Idź precz do Piekieł - powiedział Cain i portal zamknął się równie nagle, jak i otworzył. Ciało Deckarda pulsowało głuchym bólem. Akaracie, mój synu, wybacz mi.

Z wysiłkiem dźwignął się, podniósł laskę. Błękitny blask zgasł już niemal całkiem. Demon zginął. Ale poległ też towarzysz Caina. I niczego wartościowego nie znaleźli. Akarat na próżno oddał życie.

+

Deckard Cain wrócił schodami do szczeliny i precyzyjnie się na zewnątrz, gdzie wśród ruin szalała burza. Niósł miecz Akarata i ciężar w sercu. Znów zawiódł. Znów nie zdołał ocalić przed śmiercią bliskiej mu osoby. Ciemne chmury sunęły mu nad głową. Wiatr targał tuniką. Światła ubywało.

Musi się spieszyć. Ta wyprawa jednak wciąż mogła przynieść jakąś korzyść i w imię pamięci Akarata Cain był zdecydowany odnaleźć jej sens.

Obszedł ruiny.

Z tyłu między połamanymi kolumnami i popękanymi blokami kamienia znalazł ścieżkę, prowadzącą do

miejsca, które kiedyś mogło być ogrodem. Pośrodku otwartej przestrzeni zobaczył pozostałości po obozowisku, porzucone tobołki i trzy połamane laski. Cainowi mocniej zabiło serce. Cokolwiek przytrafiło się jego poprzednikom, zdarzyło się właśnie tutaj. Nie wiadomo, czy tu zginęli, czy może jednak przeżyli, najwyraźniej jednak przynieśli do ogrodu to, co znaleźli w komnacie. I zdążyli rozbić obóz. Wiatr tarosił arkusze na wpół zagrzebane w piasku.

Księga zaklęć Vizjerei. Demonia magia Bartuka. Stary wolumin. Zapewne pochodzący ze świątyni.

Czyli jednak było tu coś wartościowego. Deckard Cain rozejrzał się w poszukiwaniu kolejnych skarbów. I kilka kroków dalej znalazł następną księgę. Przepowiednie horadrimów. Przez chwilę patrzył osłupiały. Teksty horadrimów? Tutaj? W tym miejscu? Jak to możliwe? Strony były porozrywane, wielu fragmentów brakowało, słowa ledwie dawało się odczytać. Cain podniósł księgę delikatnie,

z szacunkiem, tak jak wszystkie inne teksty. Dla niego były bezcenne, traktował je niczym własne dzieci.

Ale to znalezisko przewyższało wszystkie inne.

Na pierwszej stronie wypalony był herb bractwa, niczym piętno. Znak pochodzenia, świadectwo niezwyklej doniosłości tekstu. Wyglądało na to, że symbol został sporządzony przez samego Tal Rashę, jednego z pierwszych horadrimów, któremu archanioł Tyrael nakazał pojmanie i uwięzienie Władców Piekieł.

Cain przekładał strony, a serce waliło mu w piersi. Słowa, które pozostały czytelne, zapowiadały kolejną

wojnę światłości i mroku, wojnę, przy której zbledną wszystkie poprzednie.

*A Niebiosa spadną na Sanktuarium, gdy fałszywy przywódca z prochu powstanie... I z grobu podniesie się Al Cut, a śmierć zbierze krwawe żniwo wśród ludzkiego rodzaju...*

Hałas kazał mu się obrócić. Piaskowa osa unosiła się jakieś trzy metry od niego. Ciężki odwłok zbrojny w żądło zwisał nisko, gdy polatywała nad ziemią w pobliżu porzuconych plecaków.

Cain stał nieruchomy, póki nie odleciała, potem ruszył sprawdzić, co też ją zwabiło. W torbach znalazł

resztki gnijącego jedzenia i kolejne teksty. Usiadł i zaczął przeglądać je ostrożnie. Stanowiły mieszaninę zapisków horadrimów, zakarumitów i Vizjerei. Cain nijak nie mógł pojąć, w jaki sposób ktokolwiek miałby

zgromadzić taką kolekcję, ani też po co zostawił ją na pustkowiu.

Przeglądał woluminy, czując znajome podniecenie, przybierające na sile, w miarę jak przewracał strony. Wziął kolejną księgę i ta natychmiast wydała mu się inna w dotyku. Była bardziej współczesna. Kopia księgi zaklęć, na oko miała nie więcej niż rok. Wykonanie było staranne, strony świeżo zszyte i zapisane. I wszystko wskazywało na to, że należała do jednego z horadrimów.

*Rozejrzyj się, spójrz na ślady stóp, na brakujące zwoje. Byli tu inni twego rodzaju i zawiedli.*

Myśli mknęły przez głowę Deckarda jak oszalałe. Przez lata w Sanktuarium pojawiło się wiele fałszerstw tekstów horadrimów, a jednak ten wydawał się bardziej autentyczny niż inne, które Cain czytał wcześniej. Zaczął uważniej przeglądać księgę, zwracać uwagę na styl, słownictwo, melodię języka. Uświadomił sobie istnienie energii zamkniętej w tych stronicach. Księga zdawała się wibrować dźwiękiem zbyt wysokim, by zarejestrowało go ludzkie ucho. Im dłużej czytał, tym większą miał pewność, że była to dokładna kopia oryginalnego tekstu. Tym bardziej że wolumin znajdował się pomiędzy innymi, starszymi tomami.

Kto mógłby mieć dostęp do takich ksiąg? Czyżby próbowano przywrócić tym ziemiom magię klanów?

Cain przypomniał sobie inne słowa demona.

*Twój zbawiciel jest tak blisko. Ukryty na widoku między tysiącami jemu podobnych, nie dalej jak trzy dni drogi stąd.*

Najbliższym miejscem, w którym znajdowało się tysiące ludzi, było Kaldeum, największe miasto handlowe

w Kedzystanie. Tam również można było wyprodukować i kupić taką księgę. Ale w Kaldeum był także ktoś,

kogo od dawna Cain planował odwiedzić. Przyjaciel z mrocznych czasów Tristram, odpowiedzialność, której

z uporem unikał. To da mu dobry pretekst.

*Musisz iść do Kaldeum.*

Głos był tak mocny, że przez chwilę Cain wręcz zobaczył przed sobą Akarata w lśniącej złoto zbroi i z oczyma rozświetlonymi wewnętrznym ogniem.

*Los tego świata zależy od równowagi. Musisz iść.*

Cain zamrugał, przetarł oczy i spojrzał raz jeszcze. Przed sobą nie zobaczył niczego. Tylko wiatr świszczął pośród skał, a z nieba spadły pierwsze grube krople deszczu. Deckard podniósł miecz Akarata. Broń zaciążyła mu w dłoniach. Cain nie był wojownikiem. Nie miałby żadnego pożytku z takiej klingi.

Wbił ją głęboko w piach i pozostawił, niczym swoisty pomnik dla innych podróżników. Zebrał teksty do

torby i opuścił ruiny Vizjerei, wspinając się na kolejne wydmy tak szybko, jak pozwalało na to jego stare ciało.

Zastanawiał się nawet, czy się nie zatrzymać na noc i nie odpocząć, ale głos go popędzał.

Nie było chwili do stracenia.

Bitwa o ten świat właśnie się rozpoczęła.

## Kaldeum

Dziewczynka, chudziutka jak ptaszek, niewiele ponadośmioletnia, wysunęła się pomiędzy prętów zardzewiałej kraty kanału ściekowego, gdy ostatnie promienie słońca prześlizgnęły się po miedzianych dachach i iglicach miasta. Świat powoli dryfował ku nocy.

Kosmyki brązowych włosów wisiały wokół ślicznej, delikatnej buzi, poznaczonej smugami brudu. Grzywka

została przycięta króciutko, dla wygody przy sporadycznym myciu.

Dziewczynka przemykała wśród cienia uliczek. Zmienił się kierunek wiatru i prysnął jej w twarz tysiące

kropel wody niesionych znad kaskad, które były dziełem ludzkich rąk. Woda dudniła w oddali. Dziewczynka

mruknęła pod nosem, a młoda kobieta przechodząca obok rzuciła jej zaskoczone spojrzenie i ominęła

ją szerokim łukiem, zbierając fałdy chłopskiej spódnicy. Nie zauważyła wcześniej małej, bo ta stała w cieniu zupełnie nieruchoma. Dziewczynka nie zwróciła na kobietę większej uwagi. Przyzwyczyła się już do tego, że

inni jej unikają i wzdrygają się na sam widok. Bardziej była zainteresowana tym, co działo się obok, wśród namiotów handlarzy ustawionych w piasku pod murami miasta. Matka zabroniła jej tu przychodzić, ale targ fascynował ośmiolatkę. Tyłu wokół było rozmaitych ludzi, tłoczących się i przepychających, pokrzykujących

nieustannie na siebie nawzajem: wieśniaków z wózkami wyładowanymi sukniem, warzywami i mięsem, strażników miejskich zbrojnych w ciężkie miecze i tarcze, targujących się kupców, szlachciców w jedwabnych szatach oraz sług. Kaldeum było miastem upału i spłowiałych barw, a ostatnio także napięcia, jakby ludzie spodziewali się, że wydarzy się coś strasznego.

Ale dziewczynka, samotna i przepelniona niepokojem, którego tak naprawdę nie potrafiła zrozumieć, żyła z dala od nich, we własnym cieniu i mroku. Od namiotów zapachniało jedzeniem i małej zaburczało głośno w brzuchu. W tym samym momencie z alejki wyszedł starzec. Wydawało się, jakby pojawił się znikąd. Jego włosy były masą splątanych kosmyków, broda sięgała piersi. Na ramieniu niósł wypchaną torbę, tak ciężką, że kołysał się z boku na bok. Dziewczynka aż się spięła, kiedy wmieszał się w tłum targowiska - zaraz

go ludzie wywróca, rozdepczą. Ale kiedy mężczyzna zrzucił torbę w pył ulicy, postawił na niej stopę i zaczął

rozglądać się wśród wózków i straganów, przechodnie tylko klęli i złorzeczyli, ale omijali go, tak jak strumień

wody opływa kamień.

Starzec mruknął pod nosem, ale zbyt cicho, by dziewczynka mogła cokolwiek usłyszeć. Pogrzebał w torbie i wyciągnął kawałek materiału, pozostałość tuniki, na którym krwawymi literami napisane było:

*Koniec wszelkich dni.* Rozciągnął sobie ową szmatę nad głową i wznosił brudne pomarszczone ręce, jakby szykował się do przysięgi.

- Strzeżcie się, albowiem zło nadciąga! - zakrzyczał żebrak, a jego głos był równie poszarpany co skrawek tuniki. - Najpierw upadnie góra i otworzą się bramy, a potem przyjdzie czas grozy i śmierci! Niebo zaciągnie się czernią, ulice spłyną krwią!

Grupa chłopców zebrała się po przeciwnej stronie ulicy. Tręcali się łokciami i palcami pokazywali sobie

starca. Rozbawieni podeszli do niego i otoczyli kręgiem.

- Zejdź z drogi, staruchu - odezwał się jeden z nich. - Bo jeszcze ci się broda wkręci w jakieś koło.

Głowa żebraka zakołysała się, gdy wodził spojrzeniem po twarzach wyrostków.

- Jesteście straceni. Mroczny jest potężny, powiadam wam. Na jego rozkaz stanie armia demonów! Martwi będą kroczyć wśród żywych!

Chłopcy znów wybuchnęli śmiechem.

- Ty już śmierdzisz jak truposz - stwierdził któryś. - Może to cię zmyliło.

Inny wyrwał starcowi torbę. Dłonie żebraka zerwały się jak ptaki do lotu, próbując pochwycić utraconą

własność. Chłopcy zaczęli przerzucać tobół między sobą, niemalże trafiając kobietę z dzieckiem, która przemknęła bokiem, odwracając wzrok. Żebrak chciał odzyskać torbę, ale chłopcy zwarli szereg, zmusili go do cofania się i obrzucali przekleństwami. A kiedy po raz kolejny wyciągnął ręce, jeden z łobuzów popchnął go i starzec się zatoczył, ledwie zdołał utrzymać się na nogach.

Dziewczynka nie mogła już tego znieść. Oglądanie okrucieństwa chłopaków przypominało oczekiwanie na uderzenie monsturalnej fali nadciągającej do brzegu.

Wyprostowała drobne ramionka i wyskoczyła z cienia.

- Zostawcie go w spokoju - zażądała.

Chłopcy podnieśli na nią wzrok.

- Patrzcie tylko - powiedział ich przywódca, pochylając się nad dziewczynką. Przerastał ją co najmniej

o głowę. Miał świńskie, wredne oczka. - Ten stary ma anioła stróża. A może to ty jesteś chodzącym truposzem, o którym bredził?

Serce dziewczynki zabiło mocniej, bo reszta chłopców porzuciła starego żebraka i podeszła do niej.

- Czego chcesz od tego durnia, co? - zapytał ten o świńskich oczkach. - To twój narzeczony czy co?



Dziewczynka popatrzyła na starca, który zebrawszy swoje rzeczy, oddalał się, mamrocząc pod nosem.

Wielka fala emocji, jeszcze przed chwilą piętrząca się przerażająco, załamała się, rozbiła jak woda o skały. Na

chwilę dziewczynka poczuła ulgę. Ale wtedy Świńskie Oko dźgnął ją tłustym paluchem w ramię.

- Ty, mówię do ciebie.

Pozostali podeszli bliżej, wymieniając między sobą szerokie uśmiechy. *Dopiero teraz rozpocznie się zabawa* - mówiły ich rozbawione miny.

- Nie lubię cię - stwierdziła dziewczynka. - Jesteś wstrętny w środku, o, tutaj. - Dotknęła dłonią chudziutkiej piersi.

Świńskie Oko spojrzał na nią spod przymrużonych powiek. Już się nie uśmiechał.

- A ty jesteś wstrętna na zewnątrz - odparł, a jego głos zaczął nabierać piskliwych tonów. - Widziałem cię już kiedyś, nie? Lea, tak się nazywasz, nie? Gdzie jest twoja pomyłona matka? Znow obsługuje gości w tawernie, co?

Pozostali chłopcy pohukiwali, śmiejąc się głośno, i poklepywali się nawzajem po ramionach, ale Świńskie Oko wciąż spoglądał jej w twarz.

- I wiesz co? Ja też cię nie lubię - wycedził cicho.

Znow dźgnął dziewczynkę paluchem.

- Zrozumiałaś? Nikt cię nie lubi. Jesteś ściekowym szczurem. Powinniśmy wrzucić cię do fontanny, żeby zmyć smród tych kanałów, w których ciągle się czołgasz, ale jakoś zapomnieliśmy sprzedać bilety na taki cyrk.

Reszta znów rechotała ubawiona. Ściekowy szczur. Lea nienawidziła, gdy ją tak nazywali.

- Nie dotykaj mnie - powiedziała twardo, a kiedy spojrzała chłopakowi w oczy, ten cofnął się mimowolnie.

W oczach dziewczynki migotała ciemność, głębia sprawiająca, że inni odwracali wzrok. Lea tak naprawdę nie wiedziała dlaczego. Wiedziała jedynie, że inni dostrzegają w niej coś niepokojącego i że dziwne rzeczy dzieją się wokół niej. Jakby sama jej obecność zwiastowała pecha. Ale tego tutaj to nie powstrzyma, szczególnie nie wtedy, gdy zająsciu przyglądają się jego przyjaciele.

Spróbuje zrobić jej krzywdę, sprawy wymkną się spod kontroli, ona wymknie się spod kontroli, a nie wiedziała, jak mogłoby się to skończyć...

Nad ich głowami zakrakał kruk. Zatokczył krąg i z łopotem skrzydeł wylądował jakieś sześć metrów dalej. Przechylił łepkę i popatrywał na wyrostków i dziewczynkę koralikowymi oczkami, podskakując raz po raz w kierunku martwego szczura. Wóz przetoczył się drogą, koło załomotało tuż obok, ptak odskoczył zgrabnie i zaraz wrócił w poprzednie miejsce, do spłaszczonego truchelka, rozjechanych flaków i futra, obejrzał je raz i drugi, zanim oderwał sobie długi, wilgotny pasek mięsa, podrzucił go i przełknął szybko.

Żołądek Lei szarpnął się, gdy kruk znów przechylił łepkę i spojrzął paciorkiem oka prosto na nią.

*Widzę cię, maleńka.*

I poczuła, jakby to oko mogło otworzyć się na tyle szeroko, by połknąć ją jak kawałek

surowego mięsa.

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Zacisnęła pięści, gotowa walczyć, ale kruk zaprzętnął uwagę chłopców, więc skorzystała z tego i dała nura pod ramieniem Świniookiego, skoczyła w boczną uliczkę, po czym pobiegła

ile sił w nogach. Za jej plecami rozległ się krzyk i wiedziała już, że wyrostki biegną za nią. Z oddali nadal

słyszała wykrzykiwane przepowiednie starego żebraka, a przed oczyma miała gapiącego się na nią kruka, jak

gdyby była jego następnym daniem.

*Wydarzy się coś straszego.*

Przez chwilę nie była pewna, czy to głos w jej głowie, czy może echo krzyków starego żebraka. Dreszcz

przebiegł jej po plecach, zadrzała i zanurkowała w kolejną wąską uliczkę na tyłach piekarni i sklepu z sukniami.

Skręciła gwałtownie, by ominąć pijaka grzebiącego w staniku jakiejś kobiety. W ciemności słyszała niewyraźne przekleństwa i krzyki chłopców.

*Coś straszego.* Nie umiała powiedzieć, dlaczego tak myślała, ale słowa te odbijały się echem w pamięci, łopotały niczym skrzydła kruka. Już wcześniej zdarzało się Lei słyszeć w głowie ten głos, który w niczym nie

przypominał jej własnego. Zastanawiała się często, czy każdy ma taki głos, który odzywa się od czasu do czasu, czy też pod tym względem różniła się od innych ludzi.

Dobiegła do szerszej ulicy. Tutaj więcej było pieszych, a po przeciwnej stronie stało dwóch żołnierzy

z dłońmi wspartymi na rękojeściach mieczy. Przy odrobinie szczęścia zauważą ścigających dziewczynkę chłopców, ale pewności mieć nie mogła. Skoczyła w prawo, prosto w chłód wejścia sklepu tytoniowego. Owionął ją bogaty aromat omszałej ziemi. Lea dobrze знаła miasto, wiedziała, że sklep ma drugie wyjście, prowadzące w bezpieczne rejony. Co prawda chłopcy też mogli to wiedzieć, ale nie znali tego, co znajdowało się pod sklepem.

Zanim zrozumieją, co zrobiła, jej już nie będzie. Popędziła przez sklep, właściciel krzyknął za nią zaskoczony. Próbowwała się rozluźnić. Nic się przecież nie stało, nic, co mogłoby ją wpędzić w kłopoty, tak długo jak matka się o tym nie dowie. Kratę skrywały cienie zalegające na tyłach sklepu. Lea odepchnęła ją na bok i bezszelestnie opadła w ciemność kanału. Zasunęła kratę. Znała te tunele lepiej niż

ktokolwiek, wieczny mrok wąskich przejść napełniał ją spokojem. Bawiła się tu, odkąd sięgała pamięcią. Ten

kanal zaprowadzi ją prosto do domu.

*Jesteś ściekowym szczurem. Powinniśmy wrzucić cię do fontanny, żeby zmyć ten smród.*

Ze złością otarła łzy i cicho pobiegła naprzód. Jej oczy już się przyzwyczyły do półmroku. Nie dostaną

jej, nie w taki sposób. Przez całe życie znosiła niechętnie spojrzenia i drwiny, dorastała bez poczucia przynależności, ten dzień niczym się nie różnił od innych. Ale to nie drwiny chłopców teraz ją prześladowały. Nie mogła wyrzucić z pamięci starego żebraka, jego wieszczych słów, czarnookiego kruka zerkającego znad wnętrzości, którymi się pożywiał. Dzioba rozdzierającego padlinę.

*Wydarzy się coś straszego.*

Nie wiedziała, co to mogło oznaczać, ale wyczuwała, że nadchodzi – jakby wiatr niósł zapach zepsucia

i stęchlizny.

Zanim Lea wynurzyła się z kanałów i dotarła do domu, na niebie gasły już ostatnie smugi czerwieni, powiew

chłodnego wieczornego powietrza przyprawił ją o dreszcze. Chłopcy już dawno zrezygnowali z pogoni,

a ona uspokoiła się na tyle, by zwątpić w przeczucie nadciągającej zagłady. Dzisiaj było tak jak zawsze, a żebrak okaże się pewnie tylko obłąkanym staruchem i tyle.

Ale kiedy otworzyła drzwi, matka czekała na nią z tym błyskiem w oku, który Lea doskonale знаła i którego

nauczyła się obawiać. Gillian złapała ją za rękę i wciągnęła do środka.

- Gdziez byłaś, dziecko? – syknęła, zamykając drzwi na zasuwę. Rozejrzała się, jakby się bała, że ktoś mógłby nagle wyskoczyć na nie z cienia. - Znowu bawiłaś się w tych przeklętych tunelach? Jesteś obrzydliwie brudna. Nie możesz tak się błąkać po nocy.

- Prze... przepraszam - wymamrotała Lea. - Byłam odwiedzić... Jonasza.

Jonasz był właścicielem sklepiku, w którym kupowały zwykle jajka i mleko. Przez moment Lea obawiała się, że matka zauważy brak jakichkolwiek zakupów, ale Gillian nie zwróciła na to uwagi. Zawsze myślami przebywała gdzieś daleko, niektórzy twierdzili nawet, że jest obłąkana. Zwykle jednak jej dziwaczne zachowanie nie budziło niepokoju, przynajmniej do niedawna.

Ostatnio jednak sytuacja się zmieniła. Lea potarła ramię w miejscu, gdzie palce matki zacisnęły się z siłą

imadła, i znów pomyślała o kruku i jego szponach ostrych jak brzytwy, rozdzierających surowe czerwone

mięso.

Gillian przechyliła głowę, nasłuchując. Zamruczała niewyraźnie i wciągnęła dziewczynkę głębiej do izby, odsuwając się zarazem od drzwi, jakby ktoś miał przez nie w każdej chwili wejść.

- Oni patrzą. - Padła na kolana przed córeczką i złapała ją za chude ramionka. - Są wszędzie - ściszyła głos do szeptu. - Chcą ciebie, Leo. I jeśli cię znajdą, już nigdy stamtąd nie powrócisz. Nigdy. Rozumiesz?

Ten nacisk w tonie, to błaganie sprawiało, że słowa brzmiały nie tyle groźnie, co żałośnie, ale Lea i tak była przerażona. To był inny strach niż ten, który czuła tam, w obecności chłopców, ale ani trochę mniej przejmujący. W pokoju powiało chłodem, obiema kobietami, i starszą, i tą młodziutką, wstrząsnął dreszcz. Lea skinęła potakująco głową, na przemian zaciskając i rozprostowując palce, choć nie miała pojęcia, co właściwie miała znaczyć wypowiedź matki. Kto obserwuje? Tamte chłopaki czy ktoś inny?

Gillian wzdrygnęła się, cofnęła ręce jak oparzona. Wstała i przyłożyła dłoń do czoła, krzywiąc się z bólu.

- Zamknij się! - krzyknęła do czegoś niewidocznego, czego nikt poza nią nie słyszał. - To tylko mała dziewczynka. Nie chciała tego. Zrobiło się jeszcze chłodniej. Na stole zabrzęczały talerze. Gillian odwróciła się błyskawicznie, oczy miała dzikie i wystraszone. Znow złapała Leę za ramię i potrząsnęła nią, aż dziewczynce zadzwoniły zęby.

- Przestań!

- Ja... Ja nie...

- Nie wierzę im - szepnęła Gillian. - Nie wierzę w ani jedno słowo. Jesteś grzeczną dziewczynką, Leo. Prawda?

Lea znow skinęła głową twierdząco. Przestraszonym spojrzeniem obrzuciła izbę, zniszczone krzesła i stół, czarne od sadzy palenisko, tani dywan, tak zużyty i wytarty, że stracił wszystkie kolory. Nie miała

skąd oczekiwać pomocy, nikt by nie usłyszał jej krzyku.

Dotknęła językiem bolącego miejsca po wewnętrznej stronie policzka, które sobie przygryzła. Czuła, jak coś

w niej narasta, jak gdyby coś obcego, nieznanego, bo dotychczas uśpionego, lecz teraz budzącego się do życia. I pomyślała o snach, jakie nawiedzały ją w środku nocy, o świecie z tych snów, który przecież nie mógł

być prawdziwy, chociaż się takim wydawał.

- Umarli są niespokojni - powiedziała Gillian. - Demony gotowe na krew. Pragną jej, Leo. Kąpią się w niej. One...

Lampa w kuchni błysnęła gwałtownym płomieniem. Miska podskoczyła na stole i upadła na podłogę, zielone jabłka potoczyły się po deskach i zatrzymały u ich stóp. Gillian odskoczyła od córki, zasłoniła się wyciągniętymi ramionami, jakby spodziewała się ciosu. Potem w jej oczach błysnął gniew, usta zacisnęły się w wąską linię.

Kobieta złapała Leę za ramię, szarpnięciem wyciągnęła z pokoju i poprowadziła korytarzykiem do sypialni dziewczynki.

- Nie pozwolę na to w moim domu, rozumiesz? - warknęła. - Nie pozwolę. Zostaniesz tu, póki nie powiem, że możesz wyjść.

- Matko, proszę... - W oczach Lei zakręciły się łzy.

- Czasem myślę, że też jesteś demonem - szepnęła Gillian. Ale spoglądała przy tym w dal i Lea nie była pewna, czy matka mówi do niej, czy do kogoś innego. Gillian zatrzasnęła drzwi i dziewczynka usłyszała szcęk zasuw. Lea oparła głowę o chłodne drewno i otarła łzy.

Słyszała, jak w kuchni matka brzęka garnkami, mamrocząc pod nosem, ale słowa były zbyt niewyraźne, by dziewczynka mogła je zrozumieć. Nie wiedziała, co ją czeka, ale matka nie wróciła do sypialni. Wreszcie Lea położyła się na łóżku, skuliła na boku i zamknęła oczy.

Ocknęła się kilka godzin później w całkowitej ciemności. Dom pogrążony był w ciszy i dziewczynka nie wiedziała, co ją właściwie obudziło. Przez okno widziała księżyc w tłustej pełni, nadęty i żółty żeglował nad miedzianymi dachami po czarnym, bezchmurnym niebie. Pamięć podsuwała jej niejasne obrazy

ze snu, jakieś potwory ścigające ją przez pustkowia pełne ognia i magii. Matka ostrzegała ją przed tymi

snami, powtarzała, że Lea nie może w nie wierzyć, nie może ich mylić z jawą, ale srogi głos, jakim wygłaszała

te ostrzeżenia, zawsze budził w Lei niepokój.

Być może Gillian bała się szaleństwa, które powoli pochłaniało jej zmysły. Wariactwa. Bo to właśnie się z nią działo, czyż nie? Słyszała głosy, gadała o demonach krwi i śmierci. Ostatnimi czasy nagle jej się pogorszyło i po raz pierwszy Lea zastanawiała się, co się z nią stanie, gdy matka nie będzie już mogła się nią opiekować.

Nie знаła ojca. Gillian nigdy nie chciała o nim rozmawiać. Z tego, co Lea wiedziała, nigdy nie miała ojca, żaden krewny nigdy nie przyjechał odwiedzić ich w Kaldeum. Zresztą równie niewiele wiedziała o tym,

skąd pochodziła, miała zaledwie świadomość, że w życiu jej matki wydarzyła się tragedia, która zmusiła je

obie do wędrówki przez wiele kilometrów, opuszczenia miejsca, w którym kiedyś mieszkały, i osiedlenia

się tutaj, gdzie były samotne i pozbawione wszelakich więzi. W głębi korytarza rozległo się skrzypnięcie.

W szczelinie pod drzwiami pojawiło się światło, by zgasnąć chwilę później, jakby ktoś przechodził, trzymając

w dłoniach lampę. Lea wstała i cichutko przyłożyła ucho do drzwi. Matka kłóciła się sama ze sobą

ochryplym szeptem, który stopniowo przybierał na sile, skrzypnięcia podłogi pod jej stopami stawały się

coraz szybsze, w miarę jak krążyła niespokojnie w tę i z powrotem. I znów Lea poczuła, jak coś wzbiera

i w niej, i poza nią, trzeszcząca energia tak przerażająca, że dziewczynka niemal nie była w stanie oddychać.

Odpełzała od drzwi, wspięła się na wąskie łóżko i podciągnawszy kolana pod brodę, zaczęła kołysać się

w przód i w tył.

Gillian zakrzyczała cienko po drugiej stronie drzwi. Dźwięk zdał się nienaturalnie głośny w spowitym ciszą domu. Cichy zwierzęcy niemal skowyt wyrwał się z ust Lei, gdy usłyszała szcęk zasuw. Drzwi otworzyły się z takim rozmachem, że uderzyły o ścianę. Gillian stanęła w progu, oświetlona blaskiem trzymanej lampy.

Chwiała się lekko, odziana zaledwie w koszulę nocną, włosy miała potargane, spojrzenie nawiedzone.

- Podejź tu, dziecko - nakazała. Gdy Lea się nie poruszyła, głos Gillian stał się ostry jak nóż: - Musisz słuchać. Mówię do ciebie. - Uśmiechnęła się, ale w tym uśmiechu nie było ciepła. Lei wręcz wydało się, że matki wcale tam nie ma, jak gdyby pogrążyła się w transie.

- Mamy coś ważnego do zrobienia.

Lea nie była pewna, co właściwie się stało. Gdy Gillian weszła do pokoju, świat nagle się rozciągnął, wszystko stało się dalekie, a światło przygasło. Zupełnie jakby ktoś inny przejął kontrolę nad zmysłami Lei.

Kiedy trochę oprzytomniała, stały już w korytarzu, spocona ręka matki spoczywała na ramieniu dziewczynki,

popychając ją naprzód do drzwi, skąd dobiegło pukanie. Ale Lea nie była pewna, czy to rzeczywisty dźwięk, czy tylko dudni jej w uszach.

Gillian zatrzymała się w pół kroku, twarz miała nieprzytomną i udreńczoną. Resztki ognia zasyczały cicho iskrami, gdy pękła dopalająca się kłoda. Płomień lampy rzucał na szare ściany dziko roztańczone cienie.

Pukanie rozległo się ponownie, tym razem głośniejsze.

Gillian westchnęła głęboko, jej dłoń zsunęła się z ramienia małej, ciało rozluźniło się, niemal zwiotczało, jakby

dało ujście czemuś, co jeszcze przed chwilą ze wszystkich sił starała się powstrzymać. Jakakolwiek ciemność

pętała je obie, więzy Gillian zostały właśnie zerwane.

- Późno - mruknęła Gillian. - Któż to może być? - Jej spojrzenie zatrzymało się na twarzyczce Lei, na drżących ramionkach. - Co się z tobą dzieje? Dlaczego nie jesteś w łóżku? Nastaw wody, a ja otworzę.

Postawiła lampę na stole i otuliła szlafrokiem chude ramiona.

Lea nawet nie drgnęła, jej małe stopy wrosły w podłogę, patrzyła w napięciu, jak matka sięga do klamki, jak otwiera drzwi.

W progu stał starzec w szarej tunice z kapturem, białe włosy i długa broda dawno już nie widziały grzebienia, z ramienia zwisała stara wypchana torba. Przez chwilę Lea myślała, że to ten zwariowany żebrak z targu, ale zaraz zrozumiała, że ten mężczyzna był całkiem inny. Odzienie miał dziwne, wydawało się, że dźwiga ogromny ciężar, ale twarz, choć wiekowa, była miła, a oczy lśniły jak gwiazdki w cieniu brwi.

- Gillian - powiedział na powitanie - wybacznij, że zjawiam się tak późno, ale od wielu dni jestem w drodze i nie chciałem już zwlekać.

Matka Lei stała jak skamieniała, chyba nawet przestała oddychać. Jej dłoń wolno powędrowała do ust.

- Deckard? Deckard Cain? To naprawdę ty?

Stary uśmiechnął się.

- Tak sądzę, aczkolwiek rozumiem, że pył z drogi nieco utrudnia rozpoznanie. - Przeniósł spojrzenie na Leę. - Minęło wiele czasu. Zastanawiam się, czy mógłbym wejść?

Gillian milczała, jak gdyby szukała właściwej odpowiedzi na to pytanie.

Wpuść go, prosiła w duchu Lea, błagam, choć właściwie sama nie wiedziała dlaczego. Było coś w tym człowieku, coś, co niesło poczucie spokoju. A Lea za nic nie chciała być teraz sama na samą z matką.

- Oczywiście. - Gillian wreszcie odsunęła się na bok. - Nie wiem... gdzie ja mam rozum.

Mężczyzna położył dłoń na jej ramieniu.

- Dziękuję - powiedział. - Mam sporo spraw do omówienia, prawda?

Skinęła głową. Spojrzeli na siebie i Lea odniosła wrażenie, że rozumieją się bez słów. Stary przekroczył próg, a Gillian zamknęła za nim cicho drzwi, zostawiając za progiem noc i to, co mogło czaić się w mroku.

### **Dom Gillian, Kaldeum**

Deckard Cain wszedł do uboższego domostwa, spojrzął po wyblakłych ścianach, podrapanym i wyszczerbionym na brzegach stole, brudnym palenisku i poczuł ciężar w piersi. Zakłęcie ochronne, które Adria nałożyła na dom i jego mieszkańców, wciąż doskonale się sprawdzało - odnalazł je, ponieważ dobrze wiedział, gdzie szukać. Ale wewnątrz wszystko nosiło ślady nadmiernego zużycia.

W powietrzu dawało

się wyczuć wyraźne napięcie.

Do Kaldeum przywiodło go to, co wydarzyło się wśród ruin, ale nie był to jedyny powód. Przybył tu w imię dawnej przyjaźni i złożonej obietnicy, ufny, że zostanie wszystko w jak najlepszym porządku. Jednak

Gillian nie była tą samą kobietą, którą zostawił tu kilka lat wcześniej. Postarzała się o wiele bardziej, niż wynikałoby to z upływu czasu. Dawniej młoda, smukła i piękna, śmiała się tak zaraźliwie, że nie sposób było się oprzeć. Teraz przytyła, jej ciało obrzmiało i zrobiło się miękkie, włosy posiwiały, stały się łamliwe jak wysuszona trawa. Cain widział ciemne podkowy pod oczyma i wyczuwał tę specyficzną aurę zaniedbania, jakby kobiecie z trudem udawało się pamiętać, by się o siebie zatroszczyć. Nie powinien być zaskoczony, biorąc pod uwagę to, co przytrafiło jej się w Tristram. Co przytrafiło się im wszystkim. Ale Deckard, który czerpał nauki z ksiąg horadrimów, lepiej wiedział, jak walczyć z szaleństwem, podczas gdy tych kilkoro pozostałych, którym udało się przetrwać rzeź demonów, pozostało bezbronych, złamanych i zagubionych.

- Przygotuję coś do picia. - Gillian gestem zaprosiła go do stołu. - Siadaj, proszę. Leo, nastawiłaś wody?

Cain skorzystał z okazji, żeby przyjrzeć się dziewczynce.

Przeszła do części kuchennej, z zakurzonej półki zdjęła gliniany kubek i chochlą zaczerpnęła wody z beczki. Była chudziutka. Kończyny miała długie i wyglądała trochę jak źrebie, niektóre części jej ciała były

za duże w stosunku do pozostałych. Włosy miała obsmyczone krótko i nierówno, a nocną koszulkę znoszoną

i brudną. A jednak była w tej małej wewnętrznej elegancji, ukryta pod warstwą brudu wibrująca energia

i żywiołowość. Cain mógł już dostrzec, że Lea wyrośnie na olśniewającą kobietę.

Jak jej prawdziwa matka.

To dla niej właśnie zapukał do drzwi tego domu. Zbyt długo z tym zwlekał. Spostrzegł, że i Gillian obserwuje dziewczynkę. Nie umiał powiedzieć, czy w jej oczach błyszczała miłość, smutek, czy może strach.

Lea podała mu kubek. Cain przyjął naczynie z uśmiechem, który nawet jemu wydał się nienaturalny

i sztywny. Nie za dobrze sobie radził z dziećmi, nawet lata temu, gdy jeszcze w Tristram prowadził jednoizbową szkółkę. Zawsze widział w dzieciach mieszkańców innej krainy, których języka jakoś nie chciało mu się uczyć.

- Dziękuję, młoda damo - powiedział. Upił łyk, woda była ciepława i z metalicznym posmakiem, ale

i tak niosła ulgę spieczonemu gardłu. - Muszę przyznać, że całkiem inaczej sobie siebie wyobrażałem.



Oczy dziewczynki rozszerzyły się nieco.

- To... wuj Deckard - wtrąciła Gillian. - Znamy się z... z miasteczka, w którym dorastaliśmy.

- Miło wuja poznać - odpowiedziała grzecznie Lea, wyciągając rączkę. Cain zawahał się, po czym ujął drobniutką dłoń, poczuł delikatne kosteczki, leciutkie, jakby trzymał ptasie skrzydełko. Lecz zarazem poczuł siłę ukrytą w tym drobnym ciałku. Zdusił okrzyk zdumienia i nagłą ochotę, by cofnąć dłoń. Lea nie była zwyczajną dziewczynką, choć nie umiał powiedzieć, jakiego rodzaju magię w sobie skrywała albo jakie może będzie jej przeznaczenie. Jednak budziła w Deckardzie niepokój, tak samo jak ruch w ciemnej alejce niepokoi wędrowca i powstrzymuje przed wkroczeniem w cień.

Cain zwolnił uścisk. Teraz nie miał na to czasu, ale odnotował w pamięci, by przyjrzeć się bliżej dziewczynce, kiedy tylko będzie miał wolną chwilę. Intrygowała go, a świadomość jej prawdziwego pochodzenia sprawiała, że Cain był jeszcze bardziej ciekaw, jaki dar otrzymała od losu.

Gillian delikatnie popchnęła małą w wąski korytarzyk.

- Zmykaj do łóżka. Mamy do omówienia sprawy, które zanudziłyby cię na śmierć, na dodatek jest już późno.

- Odczekała, aż Lea zamknie za sobą drzwi pokoju.

- Co tu robisz, Deckardzie? - zapytała, wracając do stołu. Usiadła z rękoma na podolku, na przemian zaciskając i rozluźniając palce.

- Ja też się cieszę, że cię widzę, Gillian.

Uśmiechnęła się samymi wargami.

- Wybacz. Minęły lata, bez słowa, bez żadnych wieści. Myślałam nawet, że nie żyjesz.

- Mam sprawy w Kaldeum i chciałem sprawdzić, co u ciebie i Lei.

- Twoje sprawy bywają niebezpieczne.

- Bywają. - Skinął głową. - Szukam tego, kto to zrobił.

Sięgnął do torby i wyciągnął kopię księgi horadrimów.

- Znalazłem ją w ruinach biblioteki Vizjerei.

Gillian ujęła księgę, odwróciła i uważnie obejrzała grzbiet i oprawę.

- W mieście jest jeden handlarz ksiąg, nazywa się Kulloom. Ma zwyczaj pić w tawernie, gdzie zarabiam na życie. Może wiedzieć, kto i gdzie wykonał tę księgę.

- Dziękuję. Spróbuję z nim porozmawiać.

- To ważne?

- Los całego Sanktuarium może od tego zależeć.

- Co masz na myśli?

Cain zawahał się, zastanawiając, ile właściwie może ujawnić. Większość mieszkańców tego miasta wyśmiałaby go, gdyby powiedział, czego tak naprawdę się obawia.

Ale Gillian widziała demony na własne oczy. I wiedziała, do czego były zdolne.

- Mam powody podejrzewać, że Władcy Płonących Piekieł, Belial i Azmodan, szykują się do ataku na nasz świat. Zniszczenie Kamienia Świata wywołało niepojęte dla nas skutki i uczyniło Sanktuarium bezbronnym. Pomyśl o Tristram, Gillian. O potwornościach, jakie stały się naszym udziałem. Szaleństwo, jakiego doświadczyliśmy... Nie mogę dopuścić, aby to wydarzyło się ponownie. Musimy nauczyć się, ile tylko zdołamy, zanim będzie za późno.

- Zawsze od razu przechodziłaś do rzeczy. - Gillian wpatrywała się w symbol horadrimów na okładce książki. Zdawało się, że kobieta z wolna traci kontakt z rzeczywistością. Jej dłonie zacisnęły się spazmatycznie,

w oczach pojawił się znów wyraz udręki. - Słyszę je - powiedziała cichutko, jakby do siebie. - Szepczą.

Cały czas słyszę je w głowie. Nie pozwalają mi odpocząć. Mówią straszliwe rzeczy. Chcą, żebym... - ucichła, wargi jej drżały.

- Czego od ciebie chcą? Co takiego słyszysz?

Podniosła nagle palce do ust i popatrzyła na Caina, jakby zaskoczona jego obecnością. Poderwała się, zakręciła i zaczęła krzętać przy kuchni zwrócona do niego plecami.

- Jestem niemądrą starą kobietą, Deckardzie - westchnęła.

- Pewnie jesteś głodny. Pozwól, że coś przygotuję.

- Wcale nie jesteś stara. Gdzie twój śmiech, Gillian, twoje uwielbienie życia? Twój niezłomny duch?

Zamarła. Mruknęła coś niewyraźnie, oparłszy dłonie na blacie kredensu. Cain usłyszał stłumiony szloch, zobaczył, jak drżą jej ramiona. Podszedł. Gillian odwróciła się i schowała mokrą twarz w jego piersi. Płacz wstrząsał całym jej ciałem. Cainowi pękało serce. Przez moment stał tak skrzepowany, po czym objął ją i przytulił. Gorące łzy moczyły mu tunikę, czuł, jak kobieta dygocze.

Nigdy nie umiał pocieszać, zawsze lepiej się czuł wśród zakurzonych ksiąg niż wśród ludzi, ale Gillian

jakoś to nie przeszkadzało. W końcu jej szloch ucichł, kobieta wyprostowała się i wytarła oczy rękawem.

- Nie chciałam być niegrzeczna. Pewnie myślisz, że zwariowałam.

- Dziewczynka. Nie wie?

Gillian potrząsnęła głową.

- Niewiele jej powiedziałam. To takie trudne. Ona... budzi we mnie strach, Deckardzie. Są rzeczy... kiedy jest w pobliżu, dzieją się dziwne rzeczy. Adria...

- Z pewnością nie żyje. - Cain machnął ręką, jakby sprawa była nieważna. Gillian wychowywała Leę jak własną córkę, zresztą liczył, że tak się stanie, po tym jak prawdziwa matka dziewczynki zostawiła

ją pod opieką Gillian. - Wiedźma może być potężna, ale nie na tyle, aby jej moc działała zza grobu. Zresztą Adria na pewno nie chciałaby nikogo skrzywdzić. Nie masz żadnych powodów do obaw. Jeśli nawet Lea odziedziczyła talent po matce, nie miała szans, by nauczyć się z niego korzystać. Jest niewinna.

- Adria przeraziła mnie raz. Jej dziecko przeraziło mnie wielokrotnie.

Cain przypomniał sobie własną reakcję na dotyk dziewczynki i pomyślał, że inni musieli doznawać podobnych wrażeń. Mała potrzebowała kogoś, kto nauczyłby ją rozumieć swój talent i z niego korzystać,

podejrzliwość i strach mogłyby jedynie narobić szkód.

- Musisz się oprzeć tym odczuciom. To przez wspomnienia tego, co wydarzyło się w Tristram. Byliśmy

tak blisko śmierci, zepsucia, to mogło wpłynąć na nasze umysły. Ale jesteś silniejsza, niż przypuszczasz.

- Nie wiem, czy jestem wystarczająco silna - szepnęła Gillian, w jej oczach znów zakręciły się łzy. - Jestem zaledwie szynkarką. Te sprawy nie są dla mnie.

Zesztywniała nagle, przechyliła głowę, jakby nasłuchując. Cain wyciągnął do niej dłoń, ale kobieta cofnęła się gwałtownie, zanim zdążył jej dotknąć. Z gardła dobył się na wpół zdławiony jęk. Podniosła bochenek chleba.

- Dość już o mnie - powiedziała bardziej pewnie, drżenie jej głosu ustało wreszcie. - Zjesz coś i odpoczniesz.

Możesz zostać z nami, jak długo zechcesz. Cain przyjął oferowaną kromkę chleba i wrócił do stołu. Żując, obserwował, jak Gillian krząta się w kuchni.

Szorowała garnki z prawdziwą zaciekłością, jakby szczotka i woda mogły wytrzeć z pamięci to, co się wydarzyło. Cain czuł ciężar w sercu i ból, było mu żal Gillian, żal wszystkich tych, którzy przetrwali, nawiedzani

przez wspomnienia tamtych straszliwych dni, popadający w obłąd, skażeni po spotkaniu z demonami.

Większość zginęła na miejscu. Być może, myślał Cain, to oni mieli szczęście. Upadek umysłowy Gillian

z pewnością odzwierciedlał niepokój, jaki w sobie nosiła. Skażenie, jakie przyniósł na ten świat Diabło,

trwało, choć Władca Grozy dawno już przestał istnieć.

Przez chwilę Deckard zastanawiał się, czy nie przycisnąć Gillian jeszcze trochę, ale uznał, że kolejne pytania

mogą tylko pogorszyć jej stan. Martwił się o dziewczynkę.

Kiedy dowiedział się, że Adria powierzyła małą opiece Gillian i pozwoliła zostać w tym domu, Cain uznał, że to rozsądne posunięcie. Wtedy zajmowały go o wiele większe, ważniejsze sprawy. Miał zamiar

wrócić do Kaldeum, żeby odwiedzić Gillian i Leę, gdy świat na powrót się uspokoi. Ale wtedy odbyła się bitwa

z Baa lem pod Hagorath, zniszczona została Góra Arreat i sprawy przybrały prawdziwie mroczny obrót. Cain

pozwolił, aby uwagę zaprzętnęły mu złowrogie przepowiednie nadciągającego zła – może pozwolił nazbyt

chętnie, a lata mijały.

Patrząc na dom i na dziwaczne zachowanie Gillian, Deckard Cain zaczął się zastanawiać, czy dokonał właściwego wyboru.

+

*Deckard Cain stał przy półkach w starożytnej bibliotece, światło małej lampki ledwie pozwalało dostrzec grzbiety ksiąg horadrimów. Księgi, niemi świadkowie jego porażki. Na dziedzińcu wiatr wył jak żywe stworzenie, uderzając raz po raz o kamienne ściany katedry. Lodowate podmuchy niczym tchnienie duchów owiewały nagie łydki mężczyzny, w blasku płomienia tańczyły drobiny kurzu.*

*Zdjął z półki jeden tom i usiadł przy stole, drżącym palcem począł wodzić po kolejnych liniach druku. Im dłużej czytał, tym więcej znajdował potwierżeń informacji, które zdobył, studiując pisma Jereda Caina. Serce Deckarda przepełniał żal.*

*To niemożliwe. A jednak. Wszystko, co mówiła mu matka, wszystkie opowieści o demonach i aniołach, które zwykł uważać za bajki przez te pięćdziesiąt lat z okładem, spisane były tutaj, w każdym szczególe. Miał przed sobą księgę zapomnianych historii. Głos jego matki odbił się echem we wspomnieniach:*

*Krew Jereda płynie w twoich żyłach, jesteś ostatnim z dumnego rodu bohaterów...*

*Każda cząsteczka jego logicznego umysłu krzyczała, że to niemożliwe. Deckard nie zwykł akceptować czegoś, czego nie rozumiał. Był nauczycielem, uczonym, a nie szalonym marzycielem. Jednak nie mógł zaprzeczyć temu, co wydarzyło się w ciągu ostatnich tygodni.*

*Nieziemski jęk rozległ się gdzieś pod jego stopami, wtórował mu odległy brzęk metalu. Deckard próbował sobie wmówić, że to tylko wiatr zawodzi w pustych komnatach. Zadrżał i ciasniej owinął się tuniką. W Tristram panował krwawy chaos. Król Leoryk postradał rozum i najwyraźniej kierowała nim siła równie potężna, co i zła. Cain mógł jedynie zgadywać, ale po tym, co wyczytał, tylko jedno imię przychodziło mu do*

*głowy: Diabło we własnej potwornej osobie, Władca Grozy.*

*Z sakwy przy pasie wyjął swój podniszczony dziennik i pochylił się nad jego kartami. Ale nie potrafił znaleźć słów, nie tego wieczoru.*

*Mężczyzna potarł piekące, opuchnięte oczy. Nie spał od ponad dwudziestu godzin. Płomień lampy zatańczył w powiewie świeżego powietrza i chwilę później Cain usłyszał skrzypnięcie drzwi. Podniósł*

wzrok i zobaczył młodą kobietę spieszącą ku niemu pomiędzy regałami pełnymi książkami. Ciężki płaszcz narzucony na nocną koszulę miał ją ochronić przed ukąszeniami zimna.

- Gillian! - Deckard sięgnął po laskę i podniósł się z za stołu. - Co tu robisz?

Śliczne oczy szynkareczki rozszerzone były strachem.

- Żołnierze powrócili z Zachodnich Marchii - powiedziała.

- Nasza armia została rozbita. Tak niewielu odnalazło drogę do domu. A teraz jeszcze ludzie króla obrócili się przeciwko nim.

- A Aidan? Wrócił z nimi?

- Nie wiem.

Strach Caina przybrał na sile, skręcał się w nim i kłębił niczym czarny dym. Kiedy kapitan Lachdanan i jego żołnierze walczyli z siłami Zachodnich Marchii, król Leoryk skazał na śmierć mieszkańców Tristram, których obciążał winą za zniknięcie swego syna. Jego żądza krwi nie znała granic.

Martwe ptaki spadające z nieba, widma wędrujące nocą, zarżnięte krowy i inna żywnina, dziwne i przerażające istoty pojawiające się raz po raz na obrzeżach miasta - wszystko to blade w porównaniu z zepsuciem, jakie dotknęło ludzkich dusz, z mrokiem, jaki zamieszkał w ich sercach.

- A gdzie jest król?

Gillian tylko potrząsnęła głową.

- Nikt nie wie. Ale ludzie idą tutaj, Deckardzie, do katedry. Musisz stąd odejść.

- Ale książki...

Złapała go kurczowo za ramię.

- Możemy po nie wrócić później.

- Zbyt długo już zwlekałem, Gillian. Zbyt długo byłem samolubny i ograniczony, nie chciałem ujrzeć prawdy o ciemności, jaka czai się poza granicami naszego świata...

W głębi katakumb rozległ się krzyk. Gillian skuliła się, policzki zbieleły jej jak śnieg, ciaśniej otuliła się płaszczem.

- Musimy iść, Deckardzie, proszę!

Skinął głową i wsunął dziennik do sakwy, razem z innymi książkami, które niedawno studiował. Podał Gillian lampę. Ostatni z horadrimów. Jego matka przewidziała to wszystko. Jakim cudem on pozostał tak ślepy?

Usłyszeli inny odgłos, tym razem z zewnątrz, nadchodzili ludzie. Cain spojrzął na szynkarę.

- Wyjdziemy tylnymi drzwiami - powiedział, ujmując ją za rękę. - Tędy.

Nie mieli już czasu. Z przedsionka dobiegł krzyk, zabrzęczały broje, ciężkie kroki poniosły się

echem wśród wysokich ścian. Cain zdmuchnął płomyk lampy i pociągnął Gillian za rządy ławek, gdzie mogli się skryć w ciemności. Usłyszał, jak dziewczyna gwałtownie wciąga powietrze. Chwilę później jej palce wczepiły się w jego ramię, zaciskając się spazmatycznie, gdy do pomieszczenia wbiegli zakuci w zbroje mężczyźni.

Już od progu dobyli mieczy i odwrócili się ku zbrojnym, którzy szli ich śladem. Cain rozpoznał żołnierzy króla, ścigał ich Lachdanan i pozostałości królewskiej gwardii Khandurasu.

*Brat przeciwko bratu, i to w katedrze!*

Cain wypatrywał wśród rycerzy najstarszego z synów króla, ale go nie widział. Walka była zajadła. Krzyki i jęki mieszały się ze szcękami metalu. Jedna z ławek roztrzaskała się, gdy padł na nią dowódca królewskiej straży z poderżniętym gardłem. Potworny charkot ostatniego oddechu wypełnił uszy Caina, w powietrzu rozniósł się metaliczny zapach krwi.

Starcie skończyło się równie szybko, jak się zaczęło. Jęki umierających przybrały na sile, by zaraz umilknąć pod ostrzami

pozostałych rycerzy.

- Przynieść pochodnię!

Lachdanan stał w cieniu, oddychając ciężko. Podeszedł do niego jeden z żołnierzy. Cain i Gillian skulili się przy podłodze, gdy światło pochodni omiotło kamienne mury i odbiło się w dzikich oczach Lachdanana.

- Gdzie jest Czarny Król?

- Gdzieś pod nami, panie. W katakumbach.

- Prowadźcie. Musi zapłacić za swoje grzechy. Szybko!

Minęli Caina i Gillian w odległości nie większej niż parę metrów. Kiedyś Deckard widziałby w Lachdananie przyjaciela, ale teraz instynkt podpowiadał, by pozostać w ukryciu.

Zbrojni przeszli i katedra znów pogrzała się w ciemnościach. Deckard wstał. Straszliwa jatka napełniła go potwornym gniewem i porażającym poczuciem straty. Krew płynęła nawą, czarna w półmroku, ciała parowały w chłodzie.

Zdjęło go przerażenie. Jak mogło do tego dojść?!

Gillian próbowała powstrzymać płacz. Cain odwrócił się w porę, by zobaczyć postać wyłaniającą się nad nimi, o oczach płonących niczym otchłanie Piekieł. Wokół rozszedł się smród śmierci. Ujrzał też kobietę trzymającą za rękę małego chłopca, w ich oczach malował się smutek i wyrzut.

+

Cain obudził się w ciemności, niepewny i zmieszany wyrazistością snu. Prawie wszystko wydarzyło się naprawdę, sen był właściwie wspomnieniem, poza końcówką.

Skąd ta postać?

I kobieta z dzieckiem...

Cain odpędził tę myśl gwałtownie, świadom zagrożenia, które wisiało nad jego głową jak miecz na włosku. Lata temu złożył tę gorzką obietnicę. Nie będzie o nich myślał. Nigdy więcej.

Otarł twarz rękawem tuniki, całkowicie rozbudzony.

Leżał na podłodze, stare kości bolały od twardego podłoża. Nasłuchiwał.

Usłyszał szmer w przedsiönku i cichą melodię głosów.

Wstał z trudem, wsparłszy się na lasce. Przez okno wpadało tyle światła księżycowego, że Deckard mógł

dostrzec przeszkody na swojej drodze. Zrobił krok, drugi, po czym zatrzymał się i znów zaczął nasłuchiwać.

Nic.

Drzwi do sypialni Lei były otwarte. Podeszedł do nich i zajrzał. Gillian stała w nogach łóżka dziewczynki,

wpatrywała się w małą i szepcząc, kołysała się miarowo w przód i w tył.

- Gillian! - zawołał ją cicho Cain. Chyba go nie usłyszała. Cień przesłonił światło padające z okna i na moment w pokoju zapanowała ciemność. Deckardowi wydało się, że to gigantyczny ptak załopotał skrzydłami.

Gillian odwróciła się gwałtownie i minęła Caina, jakby go tam nie było. Powieki miała uniesione, oczy niewidzące. Lea mruknęła niezrozumiale i obróciła się na drugi bok. Cain poszedł za starszą kobietą korytarzem aż do drzwi jej sypialni, które zamknęła cicho za sobą. Postać tam chwilę, ale nic się nie wydarzyło, wrócił więc na swoje miejsce przy dogasającym ogniu. Długo leżał bezsennie, z głową pełną kłębiących się myśli, i czekał na nadejście świtu.